

Mizeria
biblioteczno-czytelnicza
str. 3

Odkrywanie
„białych plam”
str. 8

90 rocznica
urodzin
założyciela
»Kamena«
Kazimierza
Andrzeja
Jaworskiego

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

PL ISSN 0317-5108, Nr Indeksów 31854

NR 24 (896)

29 listopada 1987

Cena 20 zł

(28 XI 1897 — 6 IX 1973)

SZANSA

Włodzimierz Jona

SRODKI społecznej komunikacji od kilku tygodni zajmują się sprawą referendum 29 listopada, przedstawiają i komentują „to, co zostało ludowi przedłożone” przez Sejm:

„Czy jesteś za pełną realizacją przedstawionego Sejmowi programu radykalnego uzdrowienia gospodarki, zmierzającego do wyraźnej poprawy warunków życia społeczeństwa wiedząc, że wymaga to przejścia przez trudny dwu-, trzyletni okres szybkich zmian?”

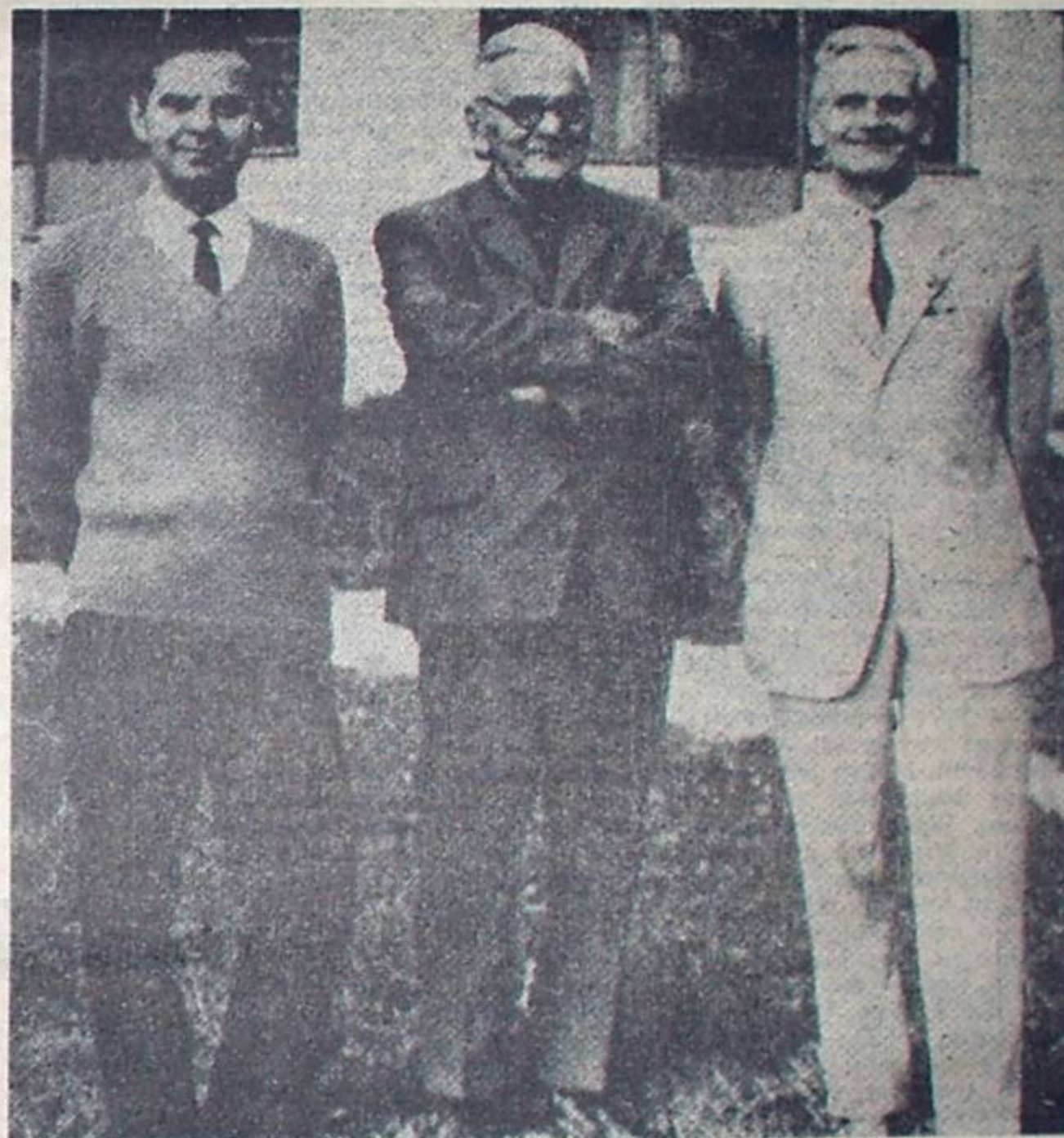
Czy opowiadasz się za polskim modelem głębokiej demokratyzacji życia politycznego, której celem jest umocnienie samorządności, rozszerzenie praw obywateli i zwiększenie ich uczestnictwa w rządzeniu krajem?”

Trochę zmęczony rozsądek podpowiada przecież, że cała ta akcja warta jest celu, który po raz pierwszy w dziejach Polski Ludowej, a może nawet w ogóle w historii państwa, tak mocno i na zasadzie sprzężenia zwrotnego wiąże interes jednostki z interesem całego narodu. Reforma obejmuje wszystkie fundamentalne dziedziny naszego bytu zbiorowego, od gospodarki do polityki, ale jej centralnym punktem, podstawową siłą motoryczną, a jednocześnie dobrem najwyższym jest obywatel, czyli człowiek wolny w de-

tanu na rzecz własnej pomysłowości, która za sprawą zmodernizowanych i całkiem nowych mechanizmów społeczno-ekonomicznych sumuje się w wartość powszechną.

Zadaniem w wielką pracę, choć to samo można powiedzieć zwyczajnie, przypominając np. pospolite przysłowie: „ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka”. Poprzedzony tysiącami dyskusji i zażartych polemik, opracowany przez tęgie głowy — projekt programu reformy gospodarczej daje się właśnie, choćby w jakimś istotnym fragmencie, przetłumaczyć na to porzekadło, wskazujące wszak na pozytywki płynące z oszczędzania, upartego trudu i rachowania. Można powiedzieć: żadna rewelacja, w ogóle żarty, bo gdyby taką retoryczkę potraktować poważnie, to należałoby chyba cały ustrój zbudować na przysłowiach, miast do Marksa czy Langego, sięgając do wiadomych opracowań Krzyżanowskiego i Brücknera, przyprawionych w ewentualnej syntezie programowej pewnym dziełkiem Tuwima. Ba, czego to nie można powiedzieć! Rzecz jednak w tym, żeby nam się chciało — chcieć zbierać owe ziarnka, wróć: najpierw siać, uprawiać, na końcu zbierać; żeby nie było tak, jak w mądrzej i piekielnie

Dokończenie na str. 4



Od lewej: Tadeusz Klak, Kazimierz Andrzej Jaworski, Paweł Dąbek. Zdjęcie zrobione w Nalęczowie w 1970 r. Twórczość KAJ-a przypominamy na str. 6—7.

Narkotyki tańsze niż kultura

Wiesław Horabik

KIEDY Lubelski Oddział Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii zorganizował Ogólnopolskie Forum Dyskusyjne dla siedemdziesięciu delegatów z dwudziestu dwóch miast wojewódzkich, tylko Program Trzeci Polskiego Radia poinformował o tym zdarzeniu swoich słuchaczy. Na sali zabrakło przedstawicieli prasy, a także innych mass mediów. Fakt ten określa jakby właśnie nasz stosunek do problemu — stosunek raczej powszechny. Nie utrzymujemy już, że zjawisko nas nie dotyczy, ale im dalej od statystyk, raportów i pasjonatów, tym gorzej z postrzeganiem. Przytakujemy nawet, że nie jest dobrze, że w sumie jest groźnie, ale nadal przysmykamy się do sprawy jak pies do przysłowiowego jeża. TZN istnieje lat pięć. „Monar” — lat siedem, a narkomania rozwija się w Polsce od lat kilkunastu.

Na szerszą skalę zaczęło się chyba wszystko na początku lat siedemdziesiątych. Nie umknęliśmy wówczas i my przewalającej się przez świat modzie na kontemplacyjny, hippisowski sposób ubarwiania życia. Szepotało się wtedy o zjazdach w Kazimierzu, o „Ixi” i „Tri”, pogłębiających doznania, przebąkiwało o niebezpieczeństwie. I nie robiono nic. Pokpiwano sobie jedynie tu i ówdzie z nikczemnych substytutów. W owym czasie nie było klimatu dla trudności i bolączek. Kiedy zaskoczyły nas fakty, skala problemu okazała się rozległa. Ujawniła się prawda, że narkomania to nie przemijająca moda i ciche naśladownictwo, a już z pewnością nie tylko.

Każde pokolenie rości sobie pretensje do nie-
zwykłości, do wyjątkowych wtajemniczeń i szcze-

gólnych doznań. Fakt pozostaje jednak faktem, że generacje wstępujące w życie w naszym stuleciu podlegają stresom i frustracjom nieporównywalnie większym niż pokolenia poprzednie. Wysokie tempo rozwoju cywilizacji, rozchwianie tradycyjnych form współżycia i norm wartości, upadek ideałów, dominacja mas spychających na pobocze znaczenie jednostki, zaraziły wielu ludzi swoistą bezradnością wobec własnego losu, przysposobiły ich do ucieczki od kłopotów egzystencji, nauczyły uników i wypełniły życie grą pozorów. Pustka cywilizacji konsumpcyjnej wespół z symptomami kryzysowymi naszego świata stanowią socjologiczne podłoże gwałtownego wzrostu procesów uzależnień. Istnieją także predyspozycje rodzime: klimat rozbuchanej tolerancji wobec używek odurzających, a zwłaszcza alkoholu, i swoista akceptacja społeczna dla fantazyjnej autodestrukcji. Najbardziej zainteresowani nie mówią, rzecz jasna, o tych motywach grandioso; dla nich sięganie po narkotyki ma przyczynę jakby codzienne, naturalne.

Z wyników ankiety przeprowadzonej w 1986 roku przez Lubelski Oddział TZN w środowisku szkolnym miasta Lublina wynika, że zdaniem ogółu badanych, przyczyn narkotyzowania się należy poszukiwać: a) w sferze osobowości (ciekawość — 42,43 proc. badanych, reakcje ucieczkowe — 31,87 proc. doznawane niepowodzenia — 28,71 proc. niedojrza-

Dokończenie na str. 8

Edward

COZ za rok ten 1987! Wiosną żegnaliśmy na lubelskim cmentarzu Ewę Krajewską, latem — Pawła Dąbka, a teraz, jesienią, żegnamy Edwarda Machockiego...

Właśnie na pogrzebie Ewy widziałem Edwarda po raz ostatni. „Chciałbym — zaproponowałem — przeprowadzić z Tobą dłuższą rozmowę. Wiesz, mamy w „Kamieniu” ten cykl: „Lubelskie sylwetki”. Nie zgodził się: „Tylu jest ludzi ciekawych ode mnie! Daj sobie spokój!”. Nie nalegałem, bo czułem, że Go nie przekonam. Edward nie należał do tych, którzy lubią, by o nich pisano.

Poznałem Edwarda w 1954 roku, kiedy objął stanowisko dyrektora (nie jestem pewny, czy tak to się wówczas nazywało) Wojewódzkiej Szkoły Partyjnej. Skierowano go do Lublina po ukończeniu Centralnej Szkoły Partyjnej. (W czasie okupacji przebywał na Śląsku, gdzie związał się z ruchem lewicowym. Po wojnie był działaczem PPS i OMTUR, a po zjednoczeniu partii robotniczej i

organizacji młodzieżowych — PZPR i ZMP). Edward zapraszał mnie na wykłady z problematyki międzynarodowej. Prowadziłem wówczas tzw. dział depeszyowy w „Sztandarze Ludu”, toteż byłem nieco lepiej poinformowany niż moi słuchacze, choć moja ówczesna wiedza też była dość płytka.

W czasach październikowego przełomu Edwarda wybrano sekretarzem propagandy KW PZPR. Miał wtedy zaledwie trzydzieści lat! Potem nasze drogi rozeszły się: wyjechałem na siedem lat do Szczecina, bliżej przyszło nam ze sobą współpracować, kiedy w 1965 r. objął stanowisko redaktora naczelnego „Kamienia”. Zaprzyjaźniliśmy się wówczas, przeszliśmy „na ty”, choć początkowo Edward bardzo mylił się ode mnie (Zygmunt Mańkowski opowiadał mi kiedyś, że kilkakrotnie przechylał z Edwardem bruderszafty, a potem wracali do formy „wy!”). Muszę przyznać, że moja współpraca z Edwardem (a były to czasy, kiedy sekretarze propagandy mieli, lub mogli mieć, bardzo duży wpływ na środki masowego przekazu), układała się na stopie koleżeńskim. Ani razu mnie nie zrugnął, a ewentualne polecenia przekazywał w sposób niezwykle kulturalny. Bardzo cenili i lubili Zygmunta Mikulskiego, kiedyś prosił (tak, prosił, nie żądał!), abym rozpatrzył możliwość zatrudnienia go na stanowisku kierownika działu literackiego.

Problemy kultury szczególnie leżały Edwardowi na sercu. Wspierał inicjatywy terenu, głównie a-srodków wiejskich, troszczył się o rozwój ruchu regionalnego, był współinicjatorem założenia Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej i „Kurier Lubelski”.

W miarę upływu lat coraz bardziej zaczęła Mu dokuczać cukrzyca, ale nie chciał poddawać się biernie chorobie. Po odejściu, bodaj w 1971 r., z KW PZPR wrócił po krótkiej rekonwalescencji do czynnej pracy zawodowej obejmując kierownictwo Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej, a później — Lubelskiego Kombinat RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Tu również (choć sam kombinat był tworem dość dziwacznym) zachował zawsze dużo taktu, bardziej był kolegą niż szefem...

Jeszcze w styczniu br. składałem Mu przez telefon najserdeczniejsze życzenia noworoczne. „Dziękuję — mówił nie bez pewnej goryczy. — Kiedy człowiek jest na świeczniku, wówczas ma wielu przyjaciół. Potem, sam zobaczysz, różnie z tym już bywa...”.

Żegnaj, Edwardzie! Niestety nie mogę (wcześniej zaplanowane spotkanie w Białej Podlaskiej) towarzyszyć Ci w Twojej ostatniej drodze, ale zawsze będę o Tobie pamiętał.

M. A. Jaw.

z notatnika

15 XI. „Pić czy być” — pod tym hasłem odbył się na warszawskim Torwarze meeting antyalkoholowy, zorganizowany przez pełnego inicjatywy Marka Kotańskiego. Początek meetingu telewizja transmitowała na żywo, co świadczy o pogłębianiu się polskiej „glasności”, zwłaszcza, że nie wszystkie głosy były, jak to się zwykło mówić, układne, nie wszystkie też do zaakceptowania, ale przecież pomysłów jest wiele, nawet wśród nich takie, aby pijaków zamykać w obozach pracy! Trzeba przyznać, że transmitując na żywo, sprawozdawcy telewizyjni umieli w pewnych szczególnie drażliwych momentach „wyciszać” dyskusyjantów, nakładając na ich wypowiedzi głosy poszczególnych członków zgromadzenia, wysławiających się wprost do mikrofonu.

Każdy sposób mający na celu zmniejszenie spożycia alkoholu jest dobry, ale nie sądzę, aby wspomniany meeting mógł się do tego waleń przychylić. Wódkę praktycznie można wszędzie kupić — jeśli w normalnych sklepach dopiero po trzynastej, to w Peweksie o każdej porze. Meliny też działają, mimo że grożą drakońskie kary za ich prowadzenie. Wprowadzenie dnia bez alkoholu w gruncie rzeczy niczego nie daje, bo ludzie, wiedząc o takim dniu z góry, uprzednio robią odpowiednie zapasy, o czym też ze zgrozą mówiono na meetingu. Dopóki nie ustabilizują się ceny, dopóki nie opłaci się oszczędzać dziś, aby jutro kupić coś konkretnego, wódka zawsze będzie ciężka się popytelem.

Moje szczególne przerażenie budzą kierowcy samochodowi jeżdżący po szosach i ulicach miast po spożyciu alkoholu. Owszem, milicji uda się czasami jednego czy drugiego delikwenta zatrzymać, odebrać mu prawo jazdy i wnieść wniosek do kolegium, ale, jak wykazuje praktyka, pijani dalej siadają za kółkiem. Może więc godna rozważenia jest przedstawiona przez któregoś z dyskusyjantów propozycja, aby rekwirować w takiej sytuacji samochód i przeznaczyć go na cele społeczne? A może taki wóz sprzedać na giełdzie, a pieniądze przeznaczyć na walkę ze skutkami alkoholizmu? W jednej z re-

publik radzieckich, jak sobie przypominam, zrobiono tak, że zmienia się tablicę rejestracyjną w samochodzie prowadzonym przez pijanego kierowcę. Jemu odbiera się na pewien czas prawo jazdy, kiedy za kierownicą siadzie syn czy żona, wszyscy inni użytkownicy pojazdów widzą, kto może być zacz! I dlatego, że widzą, nikt na ogół z takiego samochodu nie korzysta, bo rodziny po prostu się wstydzą. Obawiają się też, że milicja może ich co krok zatrzymywać, sądząc, iż samochodem kieruje właśnie ukarany!

Sprzeciwiałbym się jednak ograniczeniu sprzedaży piwa, choć należałoby je udostępnić dopiero po trzynastej, bo niektórzy właśnie rano piwem „leczą” kaca. Inna rzecz, że piwo lubelskie, mimo iż nasz rejon jest chmielowym zagłębiem, jest dość podłej jakości. Z zakupem dobrych win też są w Lublinie kłopoty: łatwiej je nabyć w byle jakim GS-ie niż u nas. W sumie obraz nie przedstawia się różowo, a obawiam się, że wprowadzanie napojów niskoprocentowych też niewiele daje. Kiedyś po trzysta (z ogonkiem) złotych „rzucano” do sklepów 18-procentowy napój pomarańczowy. Ludzie kupowali po kilkanaście (!) butelek! Ktoś powiedział: „To się nawet opłaca: 18 razy trzy to 54. Za tysiąc złotych mam półlitrowkę 54-procentową!”.

Mimo wszystko machnąć ręką na problem nie można, więc brawo Kotański! Krople drążą skałę...

18 XI. Codzienna prasa opublikowała tezy referatu Biura Politycznego na VI Plenum KC PZPR. Plenum odbędzie się „na raty”: pierwsza część — przed drugą — po referendum. Może się mylę, ale wydaje mi się, że jeszcze nigdy dotąd nie było żadnego plenum, przed którym z takim wyprzedzeniem podano by do publicznej wiadomości tezy referatu mające być podstawą do dyskusji. Powinna ona być szczególnie rzeczowa, bo długi jest czas na własne przemyślenia.

Nie podejmuję się w tym miejscu komentowania tez, będzie zresztą ku temu odpowiednia pora już no plenum KC, ale chcę odnotować takie stwierdzenie: „Gwarancjom praw obywatelskich służy, ugruntowana w ostatnich

latach, zasada jawności. Odwrotu nie będzie, próbom jej ograniczania będziemy przeciwstawiać się zdecydowanie. Dotyczy to m. in. występujących w części władz państwowych, a także w niektórych ogniwach partii, oporów wobec krytycznych informacji prasowych, radiowych i telewizyjnych oraz odważnych i ostrych dyskusji. [...] Uważamy, że przygotowana w 1981 r. w trybie wszechstronnych konsultacji ustawa o kontroli publikacji i widowskiej stanowi dobrą gwarancję dla wolności słowa. Rzecz w tym, by przeciwstawiać się wszelkim przypadkom jej naruszania, zarówno przez niewłaściwe sformułowanie przepisów, jak i brak odpowiedzialności za słowo. Prasa, radio i telewizja jako instrumenty socjalistycznej demokracji są nie tylko organem wyrażającym stanowisko władz. Muszą być zarazem wyrazicielami zróżnicowanej opinii społecznej, krytyki i kontroli”.

W przeszłości środki masowego przekazu były niejednokrotnie tylko transmisią jednokierunkową: z góry do dołu. Ani gorzej ani dołom na zdrowie to nie wyszło...

21 XI. Na zaproszenie Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Zamościu przebywałem przez dwa dni w tym województwie spotykając się z młodzieżą szkolną w Hrubieszowie, Horodle, Szpikloszach, Kopytkowie, Gołębiach, Dolhobyczowie i Przewodowie. Im mniejsza miejscowość, tym większe zainteresowanie. Najbardziej niesforne dzieci — w szkole podstawowej w Horodle, najmilsze — w hrubieszowskim Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym, w którym pobierają naukę dzieci o różnym poziomie wykształcenia, nieco opóźnionym rozwoju. Muszę przyznać, że trochę obawiałem się tego spotkania: nie wiedziałem, jak ta młodzież, często wyróżniona (szesnastolatek w czwartej klasie) przyjmie moje gadanie. Okazało się, że bardzo sympatycznie. Przez trzy kwadransy była taka cisza, że można by słyszeć brzęczenie muchy gdoby akurat się pojawiła. Dzieci mieszkały w bursie: siedemdziesiątka opiekuje się dwunastką pedagogów. Ta praca pedagogiczno-wychowawcza wymaga specjalnego poświęcenia. Pani Alina Pawłowska już od osiemnastu lat zajmuje się takimi dziećmi. Niestety, nie ma, jak sama twierdzi, siły przebicia i cały czas mieszka w oplakanych warunkach. Sądzę, że miejscowa spółdzielnia mieszkaniowa, której p. Pawłowska jest członkinią, mogłaby życzliwiej

spojrzeć na jej starania zmierzające do poprawy warunków bytowych...

Przy okazji pobytu w terenie człowiek musi się przejść po sklepach. W Hrubieszowie bez trudu można nabyć olej rzepakowy, którego w Lublinie brak już od dłuższego czasu. W Krasnymstawie — kakao w dwóch gatunkach i (bez kartek) całkiem smaczna kiełbasa barania, a także końska, której już nie próbowałem. W Kraśniczym — nikiel zaopatrzenie w obuwie. W Bończy (jeśli nie mylę miejscowości) — piwo zwierzyńskie i konserwy chińskie. Podróżując po Polsce, można to i owo kupić...

22 XI. Przeglądałem prasę ukazującą się w naszym regionie. Artykuły są lepsze i gorsze, ciekawsze i nudniejsze, niekiedy „artykułowane” (artykuły artykułowane — ładnie to brzmi!). Posłuchajmy np.: „...zmiany muszą odbywać się szybciej, bardziej odczuwalnie przez mieszkańców i bardziej zauważalnie przez przyjezdnych. Sformułować jednak hasło, a zrealizować je — to zupełnie inna sprawa. Od samego określenia ambitnych celów, mniej lub bardziej ostrego artykułowania potrzeb — niczego jeszcze nie przybyło. Zawsze przecież — w dobie, którą (tak w oryginalnie) nikt nie odważy się nazwać okresem szczególnego gospodarczego boomu — barierą będą pieniądze, moce wykonawcze i parę jeszcze innych rzeczy, które nazwać sobie może każdy, kto choć raz próbował czegośkolwiek dokonać. Nasuwa się więc inne pytanie — czy jest w ogóle jakaś koncepcja rozwoju, czy w oparciu o bilans sił i potrzeb przynajmniej wiadomo, ku czemu zmierzać i co podejmować w pierwszej kolejności? Jak w realia wpisuje się myśl i operatywność miejscowej władzy, zarówno partyjnej, jak i państwowej?”.

Jest jeszcze m. in. mowa o klarownej koncepcji rozwoju, o systematycznym przewyżnianiu wiekowych opóźnień, o tworzeniu niezbędnej infrastruktury pozwalającej na zrobienie dynamicznego kroku do przodu, no i są inne „spostrzeżenia i oceny będące z oczywistych względów nie tyle wypisem z protokołu posiedzenia, ile raczej dziennikarską refleksją”.

Papier jest cholernie cierpliwy, wszystko przyjmie. Tak trzymać! Na jakich lamach? Właśnie: to pytanie z mojego prywatnego konkursu. Odpowiedź nagrodzę prywatną książką.

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

Jury II Międzynarodowego Triennale Sztuki „Przeciw wojnie” — Majdanek 88, obradujące pod przewodnictwem Gabriela Begeonne'a z Belgii oceniło 885 prac 350 autorów z 33 krajów. Do ekspozycji zakwalifikowano 384 grafiki i rysunki, Grand Prix w wysokości 100 tys. zł przysługują artysty holenderskiemu, Michielowi von Overbeek'owi. Wystawa, której otwarcie nastąpi w maju przyszłego roku, zapowiada się rewelacyjnie.

W połowie listopada na Lubelszczyźnie przebywała delegacja dziennikarzy chińskich z szefem organu KC KPCh, Cien-Liren. Podczas spotkania z Andrzejem Szpringerem dość interesowali się m. in. naszą reformą gospodarczą i referendum, natomiast

w Puławach przyciągnęła ich uwagę działalność HUNG-u.

Konkurs na koncepcję architektoniczną Wioski Dziecięcej SOS w Kraśniku wygrał tamtejszy arch. Marek Bielecki. Projekt przewiduje wzniesienie 14 domków dla matek z dziećmi oraz zbudowanie obiektów socjalnych, sportowych, rekreacyjnych.

Zmarł Kajetan Sosnowski (1913—1987), wybitny malarz i animator sztuki, jeden z klasyków polskiej kultury artystycznej. Okresowo mieszkał w Chełmie, gdzie ukończył gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego, a po latach zamieszkiwał „Ca'erie 72”.

15 listopada odbył się wainy zjazd Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, które — przypomnijmy — zamieszkiwało i realizowało wiele poważnych przedsięwzięć kulturalnych w mieście Staszica, Prusa oraz Wincentego Pintaka, przez wiele lat będącego duszą TRH.

W drugie połowie listopada czynna była w Lublinie (klub „Masa”) wystawa ok. 400 książek radzieckich, wydanych w pierwszych latach obecnej dekady. Imponująca rozmałość tytułów, znakomita pol. i typografia, wysoki poziom ilustracji w publikacjach dla dzieci i reprodukcji w albumach poświęconych sztuce — oto najkrótsza recenzja pokazu książek, które po czasie

można było kupić w księgarniach. Niejakie kłopoty miałyby natomiast ten, kto chciałby wejść w posiadanie jakiegos tomu z wystawy francuskiej książki naukowej, otwartej 17 br. w księgarni OR PAN w UMCS. Przedstawione tam dobra chwylały się świetną sztuką graficzną (albumy etc.), jakością materii i wagą treści, ale ich ceny wahały się od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych, przy czym pierwszeństwo zakupu mieli posiadacze twardych walut.

W lubelskim BWA przy ul. Narutowicza 4 można obejrzeć II Ogólnopolskie Triennale Akwareli, techniki wdziennej, lukielnej i przyjemnej w wyrazie, ale trudnej w praktyce. Natomiast w Muzeum Okręgowym w Chełmie warto zobaczyć 29 obrazów olejnych malarza radzieckiego, Klimenta Redko, który urodził się w tym mieście (1897), a zmarł w Moskwie (1965). Muzeum posiadało te prace (z lat 1924—1952) już w roku 1966 jako dar wdowy po artyście, który uprawiał i abstrakcję i realizm socjalistyczny. Z kolekcji BWA w Białej Podlaskiej, która wystawia pop'enerowa „Zabytek i pre'as' Pod'asia 67” czynna od 30 listopada w salonie tamtejszego Muzeum Okręgowego.

13—14 listopada odbyło się w Lublinie V Ogólnopolskie Spotkanie „Wychowanie

przez Trzeźwość” zorganizowane (bardzo sprawnie) przez Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej, które w skali całego kraju skupia ok. 1000 członków, a w tutejszym, wiele aktywnym oddziałem ponad 100. Podsumowano roczną działalność PSEP-u, dyskusowano konkretne problemy wychowania przez sztukę, otwarto trzy wystawy plastyczne: dzieci, młodzieży i pedagogów „obiekty”.

11 listopada odwiedził Lublin gościnnie w Polsce na zaproszenie Ośrodka Kultury Bułgarskiej w Warszawie Georgij Czerkiew, aktor, reżyser dyrektor teatru w Piewen. Przybył tu na spotkanie z zespołem Teatru im. Osterwy. Towarzystwa tużżona Zina Czerkiewowa — dramatopisarka która była autorką wygłoszonego na spotkaniu szkicu do portretu twórczego męża. W słowach pełnych uznania o'a jego dokonań aktorskich podkreśliła, że należy on do aktorów, posługujących się indywidualizacją, w tym warstwą. Podczas spotkania z lubelskimi aktorami Georgij Czerkiew odpowiedział na wiele pytań, które dotyczyły zamierzeń repertuarowych, sytuacji teatru, jako instytucji. Jego kulturotwórczej roli, statusu materialnego aktora w Bułgarii. Spotkanie to było pierwszym efektem współpracy między teatrami z Piewen i Lublina.

UPLYNEŁO już trochę czasu od IX Zjazdu Bibliotekarzy Polskich, który obradował w Warszawie (20-22 października br.) pod hasłem: „Biblioteki polskie dziś i jutro”. Kwestie poruszone podczas obrad są na tyle ważne dla kultury narodowej, że trzeba będzie do nich wracać niejednokrotnie.

Uczestnicy zjazdu otrzymali dokument pt. „Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000”, opracowany przez prof. Jadwigę Kołodziejską, a firmowany przez Państwową Radę Biblioteczną przy ministrze kultury i sztuki oraz Bibliotekę Narodową („Bibliotekarz” 1987, nr 7-8). Stanowi on kontynuację wcześniejszych opracowań: „Raportu o stanie bibliotek polskich” (1973) i „Programu rozwoju bibliotekarstwa polskiego do 1990 r.” (1976). Starano się w nim odpowiedzieć m. in. na pytanie o obecny i przewidywany wpływ sytuacji społeczno-gospodarczej na bibliotekarstwo, w szczególności o uwarunkowania wynikające ze stanu szkolnictwa, ruchu wydawniczego i krajowego przemysłu elektronicznego.

Nie negując wszystkiego tego, czego w zakresie bibliotekarstwa udało się dokonać, a nie jest to dorobek mały, w powszechnym odczuciu, nie tylko środowiska zawodowego, od lat jest ono doświadczeniem niedoinwestowanym, zarówno w budownictwie bibliotecznym, jak też w wyposażeniu w sprzęt i urządzenia techniczne. Dotyczy to niemal całej krajowej sieci bibliotecznej. Na przykład ponad połowa wojewódzkich bibliotek publicznych swoją sytuację lokalową ocenia jako niedostateczną. Lokale bibliotek na wsi przeciętnie nie przekraczają 30 m kwadratowych, a ich stan (niedogrzaanie, złe oświetlenie, zawilgocenie) nierzadko w okresie jesienno-zimowym ogranicza funkcje tych placówek do wypożyczania książek. Trudności zaopatrzenia w meble i urządzenia wynikają z niedostatecznej bazy produkcyjnej, niedorozwoju wzornictwa, ograniczeń formalnych i finansowych.

Od połowy lat siedemdziesiątych spada w społeczeństwie zainteresowanie szkolnictwem średnim ogólnokształcącym i wyższym, co negatywnie wpływa na rozwój czytelnictwa i działalności informacyjnej, natomiast wzrasta zainteresowanie kształceniem zawodowym. W wyniku wylotu demograficznego bieżącej dekady, po 1985 r. nastąpił wył. demograficzny młodzieży w wieku 15-17 lat, który utrzyma się do końca wieku i będzie potęgował zapotrzebowanie na wykształcenie ponadpodstawowe. Przewiduje się, że w

interesującej nas perspektywie czasowej teksty drukowane pozostaną podstawową formą dydaktyczną, lecz wprowadzenie do szkolnictwa i szerzej wykorzystanie materiałów audiowizualnych, sprzętu do odtwarzania i aparatury elektronicznej (mikrokomputery) ma szansę wpłynąć na zmianę funkcji biblioteki szkolnej w kierunku uczynienia z niej głównego informatorium szkoły. Zwiększyło się również zapotrzebowanie na usługi biblioteczne najstarszej grupy ludności — emerytów i rencistów (80-90 lat) którzy już obecnie stanowią około 14 proc. ludności. Szczególny charakter mają nie zaspokojone potrzeby i możliwości czytelników ludzi niepełnosprawnych, chorych, przebywających stale w domu. Jest to pole do współdziałania z bibliotekami — młodzieży i organizacją społeczną.

Prognozy światłowe zakładają, że pod koniec stulecia książka utraci

cy. Głównie dlatego księgozbiory domowe liczące powyżej 100 książek posiada za ledwie co czwarta rodzina. Do Polski dociera 18 proc. światowej produkcji czasopiśm, natomiast dla postępu naukowo-technicznego niezbędny jest dostęp do około połowy wydawnictw periodycznych z tego zakresu. Niedostatek źródeł rodzi u zainteresowanych poczucie „izolacji informacyjnej”.

Według badań z 1985 r. 40 proc. mieszkańców Polski w wieku powyżej 15 lat w ogóle nie czytało książek, a tylko 37 proc. deklarowało lekturę więcej niż jednej książki w ciągu dwóch miesięcy, w tym 7 proc. — lekturę jednej książki tygodniowo. Z bibliotek publicznych korzysta co piąty mieszkaniec kraju, wyożyczac

Dorobek intelektualny zjazdu stworzył szeroka płaszczyznę do weryfikacji aktualnego stanu polskiego bibliotekarstwa oraz prób jego prognostycznego modelowania.

Spśród postulatów sformułowanych przez polskich bibliotekarzy trzeba wymienić m.in. zwiększenie dostępu do światowego dorobku naukowego (także w zakresie tzw. wydawnictw bezdebitowych), kompletność zbiorów wydawnictw krajowych (w tym również w zakresie wydawnictw „drugiego obiegu”), opracowanie państwowego planu rozwoju bibliotek, organizację biblioteczno-informacyjnych lokalnych i regionalnych syste-

Mizéria biblioteczno-czytelnicza

Jan Smolarz

swoje preferencje jako środek przekazu w nauce, technice, oświacie i bezdnie służyła przeważnie rozrywce, a zaczęła się era informacji elektronicznej, jednak w statystyce wydawniczej nie znajduje to potwierdzenia. Obecnie na świecie ukazuje się rocznie co najmniej 750 tys. tytułów książek i około 125 tys. tytułów czasopism.

W Polsce tradycyjna książka prawdopodobnie zachowa dotychczasową rolę do 2000 r., lecz jej upowszechnienie wspomagać będą formy reprograficzne i taśmy magnetyczne. W bieżącej dekadzie czytelnik polski otrzymuje coraz mniej z coraz bogatszego światowego dorobku piśmienniczego. W 1985 r. wydano w Polsce o prawie jedną piątą tytułów książek i broszur mniej niż w 1980 r., z tego druki o objętości od 5 do 48 stron stanowiły 20 proc. tytułów i prawie 30 proc. egzemplarzy, co pomniejsza osiągnięcie 67 proc. wzrostu globalnego nakładu. Prawie dwukrotnie wzrosły nakłady literatury pięknej, lecz tylko w produkcji wydawniczej dla dzieci i młodzieży odnotowano znaczącą i trwałą poprawę. Także lepiej przedstawiała się sytuacja w zakresie wydawnictw periodycznych, w szczególności czasopiśm. Dostępność do książki zmniejszała się głównie z powodu spadku poziomu życia społeczeństwa i kilkakrotnego wzrostu jej ceny. Przeciętna cena książki wynosi obecnie ponad 1 proc. średniej pla-

rocznie 20 woluminów. Największą poczytnością cieszy się beletrystyka, najczęściej wypożyczane są książki dla dzieci i młodzieży, powieści obyczajowe i historyczne, romanse, książki o tematyce wojennej, przygodowe, detektywistyczne i popularne poradniki, najczadziej — propagandowo-polityczne, małe formy literackie (opowiadania), poezje i dramaty, utwory wielu współczesnych pisarzy polskich i zagranicznych. Potrzebna jest zatem restrukturalizacja zbiorów w bibliotekach publicznych w większym stopniu niż dotychczas uwzględniająca przede wszystkim wymagania czytelników; intensyfikacja wypożyczeń międzybibliotecznych, tworzenie w filiach bibliotek gminnych tzw. księgozbiorów żywych (przewaga książek dla dzieci i młodzieży, bogaty wybór powieści dla dorosłych), w miarę możliwości kadrowych wprowadzanie dyżurów popołudniowych i wieczornych, przystosowanie godzin otwarcia bibliotek do potrzeb uczniów, a na wsi — do warunków pracy w rolnictwie, sprzedaż książek „niechodliwych”, czytanych i zniszczonych.

mów skomputeryzowanych, automatyzacji i komputeryzacji procesów bibliotecznych oraz regionalną współpracę bibliotek (przykłady: współpraca bibliotek publicznych w regionie południowo-wschodniej Polski, regionalny system biblioteczny w woj. szczecińskim), kształcenie zawodowe bibliotekarzy, rozwój kadry naukowej bibliotekarstwa i informacji naukowej, powołanie w strukturze PAN odpowiedniego instytutu i komitetu.

Biblioteki są jednym z najstarszych instytucji kultury. W historycznym rozwoju ukształtowały w swojej strukturze elementy zapewniające im trwałość i adaptację. Można sądzić, że w nadchodzącym XXI w. także znajdą sobie właściwe miejsce. Zaś z „nauk” IX Zjazdu Bibliotekarzy Polskich warto przypomnieć propozycje Stanisława Krzywickiego ze Szczecina — utworzenie zrzeszenia (stowarzyszenia) bibliotek publicznych w celu wspólnej realizacji zadań za wspólne środki wzbogacone docelowo dotacją resortu, tj. zamiast składania wniosków i postulatów — podejmowanie rozwiązań regionalnych.

Blaski jagiellońskiej epoki

Eugeniusz Janas

POPULARYZACJA historii w lubelskim wydaniu ma długie i dobre tradycje. Ale i najświeższy owoc nie powinien zawiesić gustów czytającej publiczności. Nakładem Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego w Lublinie ukazała się ostatnio książka „Od Zawiszy do Tarnowskiego. Szkice z dziejów epoki jagiellońskiej”. Tytuł od razu wiele wyjaśnia. Prawie 200 lat dziejów Polski, od końca XIV do końca XVI wieku, cztery pokolenia władców z domu jagiellońskiego, wydarzenia wielkie i przełomowe. Epoka, która określiła terytorialny i ustrojowy, gospodarczy i społeczny kształt Rzeczypospolitej w następnych stuleciach. Dopiero upadek państwa u schyłku XVIII wieku zrujnował również dzieło Jagiellonów, ale przecież nie całkiem. W dobie zaborów, także przez kontrast z czasami słabości i upadku, rządy jagiellońskie w narodowej pamięci nabierały nowego, dodatkowego blasku. Dostrzegano przede wszystkim potęgę i świetność minionej epoki. Dorobek Jagiellonów i jego następców posiadał teraz odmiennie, lecz wciąż realne znaczenie. Pozostała choćby „idea jagiellońska”, która jeszcze w XX wieku miała swoich wyznawców.

Współczesne spojrzenie na państwo Jagiellonów musi być inne. Spokojniejsze i głębsze, bardziej wszechstronne i wyważone. Taką też obraz daje omawiana książka. Tamta epoka również miała swoje cienie. Niektóre procesy, zwłaszcza polityczne i gospodarcze, wówczas zapoczątkowane miały doprowadzić w przyszłości do poważnych kryzysów. Wypada jednak zgodzić się z ogólnym wnioskiem autorów tomu. Sukcesy zdarzały się znacznie częściej niż porażki. Polska była rzeczywistą potęgą europejską.

Zachęta dla autorów stały się zapewne rocznicowe okoliczności — wszak niedawno minęło 600 lat od chwili, gdy w następstwie unii polsko-litewskiej w Krewie, Władysław Jagiello objął tron krakowski. Rocznica, chociaż zauważona, nie przyniosła jednak większego planu edytorskiego. Tym większa zasługa autorów i wydawców książki. Oczywiście czytelnicy zdecydują, czy ambitny zamiar — lektura dla każdego zainteresowa-

nego historią, traktująca o sprawach ważnych, ciekawych, barwnych — zostanie spełniony. Autorzy z pewnością dolożyli starań, by książka, nie będąc naukowym traktatem, stała się kompetentnym, bogatym i różnorodnym sposobem na upowszechnienie najnowszych ustaleń osiaganych w pracowniach historyków.

Ten, zredagowany przez Macieja Podgórskiego i Adama A. Witusika, zawiera 26 krótkich, zwartych szkiców pióra jedenastu autorów, lubelskich historyków. W dzisiejszych czasach zwyciężca jest cnota. Każdy, kto po przeczytaniu tej książki zechce wiedzieć więcej, bez trudu znajdzie prace obszerniejsze i gruntowniejsze. Znaczący, 10-tysięczny nakład rozprowadza przedsiębiorstwo „Ruch”, trzeba więc szukać w „empikach” i kioskach. Warto wspomnieć o dalekim od sztywnych materiałach ilustracyjnym oraz ciekawej szacie graficznej. Może tylko przydałyby się krótkie wskazówki bibliograficzne. Najważniejsza jednak jest treść, tej zaś nie sposób przedstawić w całości. Poprzestaamy na wybranych tematach.

Zwycięstwo grunwaldzkie i unia lubelska, zamek wawelski i kaplica Zygmuntowska, Akademia Krakowska, „złoty wiek” kultury i „państwo bez stosów”, Długosz i Kopernik, Rej i Kochanowski, tak jak w tytule Zawisza Czarny i Jan Tarnowski. Te wydarzenia i ci ludzie do dzisiaj określają obraz epoki. Taką był i jest nadal kanon potocznej wiedzy o jagiellońskich czasach. Autorzy kanonu ów podtrzymują, ale nasycają go szczegółem, niuansami, odrzucają nieraz utarte, schematyczne opinie. Wielu wie, że Długosz był wielkim pisarzem i historykiem, ale tylko nieliczni spoza kręgu specjalistów zdają sobie sprawę z uwikłań kronikarza, z jego sympatii i antypatii, tak silnie rzutujących na treść wybitnego dzieła. Podobnie rzecz się ma z legendarnym prawie Zawiszą Czarnym, bitwą pod Grunwaldem, polskim sejmem, „państwem bez stosów” itd. Obok szkiców poruszających sprawy znane (jak się okazuje, znane często pozornie i niedokładnie) książka zawiera szereg tekstów podejmujących tematy, których znajomość jest zgoła niewielka.

Książka wprowadza czytelnika w centralne zagadnienia epoki. Stale mamy do czynienia z jagiellońską wielką polityką, dyplomacją, militariami. Możemy przyjrzeć się trudnym dziejom zbliżenia Polski i Litwy. Od unii w Krewie, przez pogrunwaldzką uńię horodelską, do pamiętnego sejmku lubelskiego z 1569 r., utrwalał się związek dwóch państw i trzech narodów. Możemy śledzić konflikt z Zakonem Krzyżackim, absorbujący polski potencjał aż do początku XVI wieku. Równie często uwaga autorów skupia się na zagadnieniach wewnętrznego życia państwa. Reformacja w Polsce i współzycie rozróżnionych w wierze, szlachecki ruch egzekucyjny, powstanie i kształt polskiego systemu parlamentarnego — oto niektóre tematy. Szereg esejów poświęconych jest różnym aspektom życia kulturalnego — odnowieniu uniwersytetu w Krakowie, edukacji synów Kazimierza Jagiellończyka, europejskiej miary twórczości Wita Stwosza, świetnej myśli politycznej XV i XVI wieku (Włodkowie, Ostroróg, Modrzewski, bracia polscy), literaturze i pisarstwu renesansu, wybitnemu mecenatowi artystycznemu Jagiellonów.

Wiele tekstów to jakby historie z drugiego planu, chociaż często ocierające się o wielką politykę. Mamy tu m. in. głośny skandal związany z rzekomą niewiernością (czwartej) żony Władysława Jagiello, Zofii Holenderskiej, równie głośna historia zabójstwa Andrzeja Tęczyskiego i śrećciu mieszczan krakowskich, egzystencjalny los polskiego jeńcy w niewoli tureckiej Jana Kierdeja-Saïd beja, niedoszły mariaż Jana Tęczyskiego i królowej szwedzkiej Cecylii. To historie pełne rytmem życia, dramatyczne, barwne, pozwalające lepiej zrozumieć ludzi tamtej epoki. Licznym zaś zwolennikom biografii zapewne sprawią satysfakcję krótkie opisy tybiografii Władysława Czarnego, Władysława Werneckczyka, Jana Długosza, wybitnego wodza i teoretyka sztuki wojennej Jana Tarnowskiego, ciągle kontrowersyjnej Bony Sforzy.

Tak więc powstała książka niebanalna, niezwykle bogata w różnorodne treści, skłaniająca do refleksji i pogłębienia historycznych zainteresowań, dobrze napisana, jasna i przejrzysta. Autorzy poszczególnych szkiców chętnie dopuszczają do głosu bohaterów i świadków wydarzeń. To kolejna zaleta książki. Dobrze dobrany źródłowy cytat może znakomicie zastąpić komentarz, dla czytelnika ma zaś niezaprzeczalny walor autentycznego głosu ulubionej epoki.

Od Zawiszy do Tarnowskiego. Szkice z dziejów epoki jagiellońskiej. Pod redakcją Macieja Podgórskiego i Adama A. Witusika. Wojewódzki Komitet Stronnictwa Demokratycznego, Lublin 1987, ss. 240, cena 340 zł.

kamena

SZANSA

Dokończenie ze str. 1

realistycznej grotesce Mroźka, w której propozycja podjęcia robót polowych kwitowana jest przez chłopów pomrukiem chochole dezaprobaty: „Hii, Eeeee...”. W okresie, kiedy „Indyk” dopiero wchodził na scenę, publiczność przyjmowała ten epizod śmiechem wesołym, współbrzmującym z autorskim pokpiwaniem z leniwej niemocy. Z upływem lat śmiech stał się historyczny — czy nie dlatego także, że rzetelna praca przestała opłacać się w Polsce, zatem chłopstwa niechęć do roboty nabierała jakby walorów postawy rozsądnej, paradoksalnie racjonalnej?!

Reforma gospodarcza stwarza systemowe szanse przełamania ospałości, bo otwiera pole działania dla ludzi przedsiębiorczych, energicznych, pomysłowych i wręcz do rangi ustawy zasadniczej awansuje kryterium: jaka praca, taka płaca. Powtarzam: chodzi o szanse systemowe, czyli takie, które organizują wysiłek indywidualny i zbiorowy przy pomocy elementów ekonomicznych, polityczno-społecznych i prawnych, przenikających się i warunkujących wzajem. Zwróćmy uwagę, że w wiadomym projekcie nie ma zakłóć magicznych w dobrze skądinąd znanej formie frazesów patriotycznych, ideologicznych, choćby i bogoojczyźnianych (może będących i na czasie). Są natomiast fakty, liczby, rzeczowe konstatacje i metody przełamania depresji, które głębokości wcale się nie ukrywają.

Ciągle wystawianie reformy na widok publiczny i przypominanie daty referendum ma oczywiście na celu pozyskanie społeczeństwa dla tej wielkiej reorientacji naszego państwa. Kto chciałby wmańwić w ludzi, że idzie tu tylko o informowanie, wyjaśnianie czy komentowanie, ten wypiąłby się ordynarnie na ducha reformy, który uczciwie stawianie sprawy uznaje za aksjomat metodologiczny, zgodny zresztą z zasadą socjalistycznego ludowładztwa. Byłoby zresztą dziwaczne i warte uwagi konsylium najwybitniejszych psychiatrów, gdyby włożywszy tyle wysiłku w opracowanie programu, jego twórca nie zabiegał o akceptację własnego dzieła. Propagandowa neutralność autora oznaczałaby w tym przypadku powątpiewanie w sens tego, co się stworzyło.

Ekspozowanie reformy w środkach publicznej komunikacji (prasa, radio, telewizja) i przekazanie społeczeństwu prerogatywy najwyższej instancji oceniającej projektowane zmiany systemowe pobudza jednak głosy piwniczne w kraju, które korzystając z niektórych rozgłośni zachodnich, ogłaszają

oto bojkot referendum, albo taktykę selektywnego traktowania pytań „ludowi przedłożonych”. Twierdzi się tam, że reforma gospodarcza jest polowiczna i groźna dla ludu, w istocie stanowi propagandowy manewr władzy ledwie już trzymającej się stółków, a referendum to co ipso farsa, wariacka koloymija, wentyl bezpieczeństwa, także placebo dla społeczeństwa, które pozory demokracji skłonne będzie uznać za jej pełnię — bo do obłędu lanknie samostanowienia. Cheriałwa władza, mówią z piwnic via eter, popycha naród do referendum, dla niepoznaki zobowiązuje nawet obywateli do podejmowania decyzji za zasłonką, poza zasięgiem wzroku komisji, albowiem nie znajdując lepszego wyjścia dla siebie, ryzykuje w nadziei, że otumanione propagandą i jakoś już tam wążące koniec z końcem społeczeństwo powie dwa razy „tak”, co równoznacznie będzie z wystawieniem reżimowi legitymacji zaufania.

Mnie osobiście takie pomówienia, spekulacyjki i prognozy nie przeszkadzają, przeciwnie — śledzę je z zaciekawieniem, wręcz uznaję za pożyteczne. Oczywiście, lepiej byłoby, gdyby panie i panowie z tzw. podziemia, którego lokalizację wszyscy znają, ograniczyli się do indywidualnej realizacji osobliwych interpretacji świata polskiego. Ale to, co robią w ramach formuły totalnej negacji prawie każdego posunięcia władzy i organów przedstawicielskich społeczeństwa, też posiada dobre strony.

Po pierwsze dlatego, że sam fakt znaczenia, jakie przykładają do projektu reformy i referendum, potwierdza historyczne znaczenie tych przedsięwzięć. Wykpiwając referendum jako farsę, zbyt dużo energii wpuszczają w ten kanał, by ktokolwiek mógł uwierzyć, że faktycznie chodzi o kabaretową grę pozorów. Tak się składa, że Polacy potrafia odróżnić rzeczy poważne od zgrzywu, poważne zamiary od koldeterii żigolaków.

Po drugie dlatego, że ogłaszając bojkot referendum w sprawie reformy gospodarczej, kompromitują się jako obywatele i politycy. Przecież to oni kilka lat temu nawoływali do zmian systemowych, parli do dezetatyzacji i ustanowienia silnej instytucji samorządu pracowniczego, wolnej gry rynkowej, urealnienia cen i równorzędnego traktowania wszystkich trzech sektorów gospodarki, co właśnie proponuje i akcentuje program reformy. Z niejakim zakłopotaniem wypada zauważyć, że tym ludziom nie leży chyba na sercu interes ogółu lecz małutka,

politykierska prywata zaslepienych aktywistów.

Po trzecie dlatego, że dopuszczając akceptującą odpowiedź na drugie pytanie referendum, przy bezwzględnej negacji pierwszego, przedstawiają się jako osoby nie zorientowane w naturze procesów, zachodzących w makroskali. Wyjaśnijmy pokrótce, o co chodzi, biorąc pod uwagę państwo. Otóż, stanowi ono strukturę czyli układ elementów powiązanych funkcjonalnie i hierarchicznie. Jeśli jakiś ważniejszy element tego organizmu szwankuje, odbija się to na całości, która ostatecznie słabnie, zaciera się, po prostu choruje. Z klasycznym przypadkiem takiej zapadli strukturalnej mieliśmy w Polsce do czynienia w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i na początku następnej dekady, kiedy to ujawniły się skutki błędnych koncepcji ekonomicznych i politycznych. Jeśli więc obecnie ktoś uważa, że zdrowie państwa zależy wyłącznie od zreformowania jego sfery politycznej wedle wzoru pełniejszej demokracji, a gospodarka już się jakoś sama uporządkuje, to coż można przekazać wyznawcy takich poglądów poza wyrazami współczucia? Ekonomia, polityka i ideologia to zależne od siebie, podstawowe części struktury każdego państwa: socjalistycznego i kapitalistycznego. Spróbujmy to zilustrować na przykładzie udziału Polski w międzynarodowym podziale pracy, którego wzrost jest zasadniczym warunkiem rozwoju gospodarki narodowej, otwierającym m.in. szansę na taki „drobiazgi” jak wymienialna złotówka.

Obecnie udział ten jest bardzo niski. Dolarowa wartość eksportu przypadającego na jednego mieszkańca sytuuje nas daleko w tyle za takimi choćby krajami, jak Bułgaria, NRD czy Węgry. Kiepsko przedstawiają się też inne wskaźniki, określające obecność Polski w światowym handlu. Zmiana tej sytuacji to jedno z centralnych zadań w programie uzdrowienia gospodarki, albowiem, jak dowodzi wiarygodne opracowanie:

„udział w międzynarodowym podziale pracy ułatwia uzyskiwanie nowoczesnej technologii. Praktycznie żaden kraj, a zwłaszcza kraj tej wielkości co Polska, nie jest w stanie sam sfinansować — wysokich zazwyczaj — nakładów na badania podstawowe i rozwój wszystkich potrzebnych nam dziedzin;

współpraca pozwala na pozyskanie nie produkowanych u nas lub wytwarzanych w niedostatecznych ilościach surowców i paliw (np. ropa naftowa, rudy żelaza i innych metali, fosforyty, wełna, bawełna, kauczuk); handel międzynarodowy umożliwia zakupy towarów wzbogacających zapaszerzenie rynku wewnętrznego;

przyspiesza to w sumie rozwój gospodarki. 1 dolar zarobiony w eksporcie i wykorzystany na zakup surowców, materiałów itp. pozwala uzyskać wzrost produkcji krajowego przemysłu rzędu 4 dolarów, a zainwestowany w gospodarce — zwiększa po pięciu la-

tach zdolności produkcyjne o 4-5 dolarów;

wzrost wymiany handlowej jest także niezbędny dla rozwiązania problemu zadłużenia”.

Ta cała sfera uwarunkowana jest politycznie i taki też impuls miały zachodnie restrukturyzacje, które kosztowały nas ok. 15 mld dolarów, odcięty Polskę od importu nowoczesnych technologii, spowodowały utrudnienia wobec naszego eksportu itd.

Powtarzam: zwiększenie udziału kraju w międzynarodowym podziale pracy to jedno z kluczowych zadań programu II etapu reformy gospodarczej. Interesujące przy tym, że projektowany system, po części już zresztą wprowadzany w życie, zyskał uznanie w oczach ekspertów Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, wpływając też ostatnio na decyzje Klubu Paryskiego, który prologował nam spłatę kredytów. Dlaczego? Bo na Zachodzie potrafią liczyć, dbać o własne interesy. I tak kółeczko zamyka się; polityka z ekonomią podaje sobie dłonie i tańczy poloneza.

Te same zasady i relacje obowiązują w stosunkach wewnętrznych. Ogromnie ważna instytucja samorządu pracowniczego kształtuje się w scenarii gospodarczej, pełniąc jednocześnie rolę stimulatora nowej sytuacji politycznej, opartej na autentycznym ludowładztwie, implikującym wreszcie racjonalne wykorzystanie kadr i wiele innych ważnych modeli życia społecznego.

Referendum obejmuje dwa pytania, dotyczące spraw gospodarczych i politycznych, wpisanych w projekt reformy, ale w gruncie rzeczy stajemy oto przed jednym wielkim zagadnieniem: rozwoju Polski poprzez wyzwolenie energii jej obywateli, w tempie najszybszym z możliwych, choć wymagającym okresowych wyrzeczeń, które nie obniżą przecież obecnego poziomu życia.

Zapytajmy na koniec, bo to chyba ważne, kto jest autorem programu reformy i pomysłodawcą referendum? Sejm, PZPR, ZSL, SD, PRON, socjalistyczne stowarzyszenia wyznaniowe, organizacje społeczne? Naturalnie, ale na tę listę należy jeszcze wpisać tysiące, dziesiątki tysięcy innych obywateli, którzy w taki lub odmienny sposób uczestniczyli w powszechnej dyskusji, poprzedzającej opracowanie projektu reformy i ciągle trwającej. Była to debata burzliwa, dramatyczna, nie wolna od gorczy i lęku o przyszłość, ale bezwzględnie pożyteczna: jako szkoła demokracji i nowoczesnego myślenia ekonomicznego. Te korzyści z nawiązką równoważą np. koszty organizacyjne referendum 29 listopada, które również mieści się w politycznym repertuarze demokracji.

Szerokie upowszechnianie treści reformy i wyjaśnianie sensu referendum w środkach społecznej komunikacji to raczej wyrażanie woli i myśli owych tysięcy Polaków, niż pospolita propaganda.

Włodzimierz Jona

» W każdej garstce popiołu szukam swoich bliskich «

Henryk Więclawski

— Takie powroty są ogromnie trudne — mówi Leon Bechstein. — Trudno jest znaleźć się znów w miejscu, gdzie pogrzebano się niegdyś wszystkich swoich najbliższych. Cały ten ból naszego narodu odżywa wówczas na nowo. Ból i, tak jak niegdyś, poczucie bezsilności. Życie nie bardzo toleruje powroty do wspomnień, a co dopiero do niewyobrażalnej tragedii. Kiedy rannym 1 września rozpoczęła się wojna, nikt chyba z nas nie przypuszczał, że oznacza ona koniec całej naszej dotychczasowej egzystencji. Taki Lublin, jak wtedy, nigdy już się nie odrodzi. I nie jest to bynajmniej nostalgia za krajem dzieciństwa. To byłoby zbyt proste. To ustawiczna zaduma nad tajemnicą człowieka...

Przy ulicy Kowalskiej rozsiadły się sklepy i sklepiki ze skórą; kwaśny odór przerabianego surowca rozchodził się szeroko na całe Podzamcze. Przy Furmańskiej i Cyruliczej królowali tragarze i wozacy; od wczesnego świtu klaskali po bruku końskie kopyta, a bramy wypełniały się krzykiem. Materiały ubraniowe i sukna sprzedawano po parzystej stronie ulicy Lubartowskiej i była to także dzielnica szewców i krawców. Przy Długiej piętrzyły się stragany i kwitł handel ręczny. Wśród czarnych chałatów migły gę-

sto barwne wiejskie zapaski. Na Nadstawnej przez otwarte okna i drzwi wysypywał się na ulicę z chederów równy głos uczniów skandujących przygotowywaną lekcję. Gimnazjum przy Radziwiłłowskiej oferowało gwar inny, bardziej dojrzały i zindywidualizowany. Brodaci starcy odprawiali modły w licznych bożnicach. Dwa lub trzy razy w tygodniu teatr amatorski prezentował spektakle. W szpitalu miejskim nad ponad stu chorymi pochylała się troska. Pełne były ochronki, rzadkie jeszcze wówczas przedszkola i Dom Sierot przy Grodzkiej. Cały ten trójkąt miasta między Bramą Krakowską, Czechowem i Kallnowszczyzną od poniedziałku do piątku tętnił ludzkim gwarem. Życie przelewało się tutaj w swym pełnym wymiarze. Najbardziej chora wyobraźnia nie potrafiłaby wyodrębnić z takiej pełni wizji pospiesznego i całkowitego unicestwienia. Ten niby odrębny przecież organizm był w istocie częścią odwiecznej integracji, ten wkrótce podeptany świat łączył się z pozostałą częścią miasta tysiącami zależności. Wiele napisano monografii, wspomnień i dysertacji o przedwzrostowym Lublinie. Niewiele jednak miejsca poświęcono w nich owej jednej trzeciej ludności, którą pochłonęła historia. Taki cień gorczy także pojawia się we wspomnieniach.

— Nie ma już tych ulic w Lublinie — mówi Simehe Wajs, były mieszkaniec miasta, dziś obywatel świata. — Są nowe, o wiele piękniejsze, na

pewno piękniejsze. Ale mimo to ja wciąż tęsknię za tamtymi, za całym tym tak odległym już światem. Wciąż jeszcze szukam z uporem tych czterdziestu tysięcy istot ludzkich startych z powierzchni ziemi tylko dlatego, że byli Żydami.

W soboty i niedziele normalny gwar przychodził. Drzwi sklepów i warsztatów zamykały się na glucho, a handel zamierał. Teraz wąskie uliczki wypełniali ludzie odświętnie ubrani. Mężczyźni w czarnych alpagowych kapotach, a kobiety w szerokich wełnianych chustach na ramionach przydawali dzielnicę dostojności i niezwykłego spokoju. Tylko głos kantora Rudnickiego brzmiał donośnie w synagodze Maharshala i Maharama, a Bawid Keller czytał tam Torę. Kawiarnia Rutkowskiego wypełniała się członkami Klubu Inteligencji, a Towarzystwo Sportowe „Samson” organizowało zawody. W domach rozkładano niedzielne wydania „Lubliner Tagblatt” i „Lubliner Sztyme”. Członkowie partii politycznych i ugrupowań społecznych wiewcowali z pasją.

— To, co dokonano się tu w okresie okupacji, to nie tylko dowód na upadek człowieka — powie Josip Mandelbaum. — To także prawda o bohaterstwie i ludzkiej godności. A jednak jakże trudno pamiętać o tej prawdzie, gdy śladów najbliższych trzeba szukać wśród ruchomych popio-

CZYŻBY znów była to nagroda bardziej polityczna niż literacka? Zapewne ale została przyznana. Joseph Brodsky jest laureatem Nagrody Nobla. Niechcąc tego faktu może tylko ośmieszać. Rzecznik radzieckiego MSZ, Giennadij Gierasimow w dniu jej przyznania, 22 października br., wychodząc z dotychczasowych doświadczeń, na gorąco powiadział, że Szwedzka Akademia Literatury podejmuje nieraz „dziwne wybory”, ale równocześnie wyraził zadowolenie, że zaszczyt ten spotkał Brodsky'ego. Nadto dowiedzieliśmy się, że przodujące w „głasności” czasopismo „Nowy Mir” poświęci cały swój numer poecie urodzonemu i wychowanemu w Leningradzie.

Joseph Brodsky (Josif Brodski) urodził się w roku 1940. Ojciec w tym właśnie roku rozpoczął służbę w Marynarce Wojennej i pełnił ją przez osiem lat. Przeżycia wojenne i następne sprawy, że morze do końca życia było jego dobrym wspomnieniem. Matka nie dostała się na studia i pracowała jako sekretarka i księgowa. Ze względu na żydowskie i drobnomieszczańskie pochodzenie Brodscy, żyli tymczasowo, oczekując wywózki, ale przełomowy rok 1953, po śmierci Stalina, przywrócił nadzieję. Żyli w mieszkaniu wielorodzinnym, w którym zajmowali półторы izby, mieli dostęp do wspólnej kuchni. Zainteresowanemu poezją chłopcu osładzać życie mogła myśl, że kiedyś w tej samej kamienicy mieszkali przez jakiś czas Aleksander Blok i Dymitr Mereżkowski.

Sam Josif był „trudnym” wychowawczo chłopcem. W swoich wspomnieniach pisze, że mając 15 lat, pewnego razu zniecierpliwiał się przebiegiem lekcji, wstał, wyszedł i nigdy już do żadnej szkoły nie powrócił. Był jednak samoukiem. Interesował się filozofią, historią religii a także językami polskim i angielskim. W roku 1958 zaczął pisać. Maszynopisy znali znajomi oraz m. in. Anna Achmatowa, która dostrzegła w tych tekstach wielki talent, widząc w nich nadto jakby kontynuację twórczości Osipa Mandelsztama. Sam w tym czasie był niejako polonofilem. Czytał i próbował tłumaczyć Tuwima, Gałczyńskiego, a kilka lat później poznał wiersze Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej, Stanisława Grochowiaka i Czesława Miłosza. Potem, wraz z postępującą znajomością angielskiego, przyszła kolej na Eliota, Audena i innych poetów anglosaskich. Adam Krzemiński w „Polityce” (nr 44) zacerpnął bogato ze wspomnień Brodsky'ego. Niech nam będzie wolno cytować za nim, gdyż źródła dotyczących nowego laureata Nobla jest mało. Brodsky pisze o swoich rówieśnikach:

„Było to pokolenie Rosjan, które się odnalazło, dla którego Giotto i Man-

delsztam byli ważniejsi niż osobisty los. Blednie ubrani lecz mimo to jakos elegancy, popychani przez gluche ręce bezpośrednich przełożonych, wciąż

uciekając zakosami przed wszechobecnymi przedstawicielami państwa i jeszcze bardziej wszechobecnymi cwaniami, polamani, postarzali, mimo

Joseph Brodsky

Wchodziłem zamiast dzikiego zwierza do klatki, wypalałem swój termin i opętanie gwoździem na ścianie baraku, mieszkałem nad morzem, grałem w ruletkę, jadłem obiady czort wie z kim we fraku. Z wysokości lodowca oglądałem pół świata, trzy razy tonąłem, dwa razy bywałem rozbity. Opuściłem ojczyznę, która mnie wykarmiła. Tymi, co o mnie zapomnieli, można załudnić miasto. Włóczyłem się po stepach, pamiętających wrzaski Hunów, nakładałem na siebie to, co znów wchodzi w modę, siałem żyto, pokrywałem czarną papą gumna, Wpuściłem do swoich snów obraz konwoju wron i kruków. Zarłem chleb wygnania do ostatniego okrucza, pozwałałem strunom głosowym na wszelkie dźwięki, od lamentu przeszedłem w szept. Teraz mam lat czterdzieści. Co mogę powiedzieć o życiu? Że okazało się długie. Z rozgoryczonymi czuję się solidarny. Ale póki mi ust nie zatkała gлина, będę głosił tylko słowa podziękowań.

24 V 1980

W ITALII

Robertowi i Florze Calasso

I ja kiedyś mieszkałem w mieście, gdzie na domach wyrastały statuy, gdzie po ulicach z okrzykiem „gwalt! gwalt!” biegał miejscowy filozof, trzęsąc brodką, i nie kończące się nabrzeże czyniło życie krótkim.

Teraz tam słońce promieniem oślepią kariatydy. Ale tych, którzy kochali mnie więcej niż siebie, nie ma już wśród żywych. Straciwszy kontakt z obiektem prześladowania, psy weszły nowe obiady,

o tym przypomina mi pamięć, mówiąc o pokrewieństwie rzeczy. Zachód; w oddali krzyki „przeklęty gadzie, odejdz!” w obcym języku wprowadzicie, lecz dla mnie zrozumiale. I najpiękniejsza w świecie laguna ze złotym gołębnikiem

ostro iskrzy, migoce aż łzawią źrenice Człowiek, dożywszy do chwili, gdy nie sposób bardziej go kochać, brzydząc się płynąć przeciw wściektemu prądowi, chowa się w perspektywę.

1985

Tłumaczyła: Aleksandra Kowal

wszystko zachowaj w sobie miłość do nie istniejącej (a istniejącej) tylko w nich coraz bardziej lśnących głowach rzeźby imieniem „cywilizacja”. Bezradziejnie odcięci od reszty świata, myśleli, że przynajmniej ten inny świat byłby taki jak oni; teraz wiedza że jest taki jak inne, tyle że lepiej ubrany. Gdy piszę to, zamykam oczy i niemal ich widzę przed sobą, jak stoja w kuchniach swych odrapanych mieszkań, jak krzywią twarze w ironicznym grymasie z kieliszkiem w ręku „Tak, tak...” Uśmiechają się. „Liberte, Egalite, Fraternite...” Dlaczego nikt nie doda: „Kultura?” Dla mojego pokolenia język polski był czymś w rodzaju lingua franca. Wszyscy w tamtych czasach uczyli się polskiego...” Rادی BBC, po otrzymaniu nagrody oznajmił: „Do dziś sądzę, że Polska w tamtych czasach, w latach sześćdziesiątych, a nawet w pewnym sensie do dnia dzisiejszego, jest areną najbardziej awangardowej sztuki, awangardowych form”.

Pisaliśmy już, że był chłopcem, a potem młodzieńcem „trudnym”. Nie przychodził do przyjętych norm, sposobu bycia. Kiedy miał 24 lata, po próbach podjęcia pracy w jakiejś fabryce, gdzie także dostosować się młody poeta nie potrafił, skazany został za pasożytnictwo na pięć lat przymusowej pracy w sowchozowym obozie pod Archangielskiem. Karę odbywał przez ośmioro roku, ponieważ w tym czasie ukazał się jego tomik w USA pt.: „Verses and Poems” i w ten sposób autor zyskał polityczne nagłoszenie zachodniej propagandy. Po odzyskaniu wolności ukazywały się jego pojedyncze utwory w radzieckich czasopismach, a cztery wiersze nawet w antologiach z roku 1966 i 1977. W 1970 r. ukazuje się drugi jego zbiorek poezji pt. „A Stop to the Desert”, co znów pogarsza sytuację polityczną młodego poety. Stara się o prawo wyjazdu na zachód, zgodę otrzymuje dopiero w 1972 roku, a obywatelstwo amerykańskie w pięć lat później. Przed odjazdem napisał list do Leonida Breżniewa, w którym m. in. deklaruje: „Chociaż tracę moje obywatelstwo radzieckie, nie przestanę być poetą radzieckim...”

Oprócz wspomnianych tomików Joseph Brodsky wydał: „The End of a Lovely Era” (1977) oraz eseistykę o poetach i poezji rosyjskiej XX wieku: „Less than One”. Jego utwory zostały dotąd przełożone na 12 języków.

Wiadomość o Nagrodzie Nobla zastała go w Wielkiej Brytanii, gdzie jest wykładowcą Uniwersytetu w Cambridge (równocześnie wykłada w nowojorskim Uniwersytecie Columbia oraz w Michigan). Ponoć oświadczył, że czuje się zarówno Rosjaninem, jak i Amerykaninem, myśli nawet o powrocie, a przynajmniej odwiedzeniu ZSRR.

Jas

„W każdej garstce popiołów szukam swoich bliskich”. Pod takim właśnie hasłem obradowało w Lublinie Seminarium w czterdziestą piątą rocznicę likwidacji lubelskiego getta. W węzeł upięty z biało-czerwonej flagi zatknięto bukiet czerwonych goździków. Tragedia holocaustu trudna jest do pisania.

Na sto trzydzieści tysięcy mieszkańców przedwojennego Lublina czterdzieści trzy tysiące stanowili Żydzi. Do nich należała także połowa zakładów rzemieślniczych. W handlu i przemyśle obowiązywała ostra konkurencja, ale ataki faszyzującej prawicy pozostawały marginalnym zjawiskiem. Wkroczenie Niemców do miasta określiło koniec pewnej odmiany świata. Spośród czterdziestu tysięcy ocalał niespełna tysiąc. Los obu narodów miał się spełnić podobnie. „Tragedia Żydów była i pozostanie naszą polską tragedią — powiedział profesor Zygmunt Mańkowski. — Nie powinniśmy nigdy oddzielać losu Polaków od losów Żydów — obywateli polskich. Każda ludzka tragedia jest częścią ludzkiej sprawy”.

Najpierw unicestwiono polski element przywódcy i Żydów, potem przyszła kolej na następne warstwy polskiego społeczeństwa. Gotowe od dawna plany wprowadzane w życie z przysłowiową niemiecką precyzją. Początek wyznaczał tragiczny exodus ogromnych mas ludzkich. Tysiące Polaków wysiedlono z terenów włączonych do Rzeszy, tysiące Żydów z różnych miejsc Europy, tysiące polskich chłopów z Zamojszczyzny. Też gigantycznej wędrówce ludów towarzyszyła grabież i okrucieństwo. Przybywały wówczas do Lublina transporty przywożące mieszkańców Wiednia i Pragi, Budapesztu i Hamburga. Ludzi tych skazywano na śmierć przez zamazanie w stodolach i zrujnowanych bożnicach.

Zachowały się wstrząsające relacje z tamtego okresu. Ci, którzy przeżyli, napotykali cierpienie na każdym kroku. Jeden ze świadków tamtego czasu tak wspomina los Żyda zawleczonemu na posterunek żandarmerii w Dęblinie: „Byłem listonoszem. Przyniosłem listy na żandarmerię. Żandarm przyprowadził Żyda z długą brodą, mającego około 70 lat. Peterson rozkazał mi, abym przyglądał się, jak go będą golić. To „golenie” polegało na tym, że jeden z nich trzymał tego nieszczęśliwego człowieka za głowę, a Peterson uderzał siekierą... Odrąbał mu dół twarzy... Reszty dokonał pies. Niemcy bawili się tym widowiskiem...” („Perspektywy” 8.11.87).

Tak było w Lublinie, Warszawie i Łodzi, w tysiącach polskich miast, miasteczek i osiedli. Kiedy utworzono już swoiste „enklawy pogardy”, nadszedł czas na ostateczne „rozwiązanie problemu”. Wiosną 1942 roku uległo likwidacji tzw. duże getto lubelskie, skąd ponad trzydzieści tysięcy ludzi wywieziono do obozów zagłady. 9 listopada 1942 roku ten sam los spotkał małe getto na Majdanie Tatarskim. Rozstrzelano wówczas wszystkich jego mieszkańców. W marcu tego roku na polach za Majdanem zlikwidowano personel wychowawczy i ponad sto dzieci z Domu Opieki przy Grodzkiej. Społeczność żydowska Lublina istniała.

Dla tych, którzy przeżyli, listopadowe spotkanie w Lublinie było często pierwszym powrotem od pół wieku. Chodzili wraz z rodzinami po miejscach, gdzie niejednokrotnie tylko nazwa lub zrab ocalałego domu pozwalały tropić cienie. Zasałili świece w bożnicy przy Lubartowskiej i odmówili modlitwy. Na ścianach domów wmurowano tablicę, a na Placu Ofiar Getta społeczeństwo Lublina złożyło kwiaty. Oprócz gestów istnieje także pamiętanie. Trudno jest wszakże i dziś jeszcze zrozumieć pełną prawdę o czasie do końca nieopiek-

tym. „Nasz los jest dla was przestroga” — głosi napis wyrzuty na obelisku z Majdanka. Uczestnicy Seminarium odwiedziły obóz. Wielu z nich płakało. Jeden z moich rozmówców powiedział, że w nakazie pamiętania musi się znaleźć nie tylko przeszłość. Właśnie powinien on mieścić także wieczne ostrzeżenie.

W sali rektoratu UMCS odbył w listopadowe południe tamten dawny świat. Przypominano sprawy wielkie i drobne ludzkie losy. Ożyli we wspomnieniu żywi niegdyś ludzie. Mówiono i o tych, którzy nie trwali w bierności i z bronią w roku walczyli do końca o prawo do godnej śmierci. Z drugiej strony wiele dyplomów dla sprawiedliwych wśród narodów świata przywędrowało po wojnie do naszego miasta. Ale nostalgia — jak powiedział mój rozmówca — to o wiele za mało.

Prorok UMCS, profesor dr hab. Zygmunt Mańkowski, powiedział w swoim referacie: „Historia powojenna świata pełna jest okrucieństwa i przykładów deptania ludzkiej godności. Norimberga, która miała na zawsze wykorzenić źródła potencjalnej tragedii, w praktyce nie nie zalać. Nie wiadomo jeszcze, kto, kiedy i komu może zgotować w przyszłości los podobny do tego, którego ludzkość tak niedawno okrutnie doświadczyła”. Zachowując w pamięci te słowa, trzeba pamiętać, że owe gesty na ulicach miasta, obok holdu dla wymordowanych nabierają nowego specjalnego wymiaru. Błędnie po tragicznych śladach staje się realnym przeżyciem dla nas wszystkich żyjących.

Pod pomnikiem pamięci wiatr długo chybotał wiatłymi piómkami świec...

Prawo łaski

O, najjaśniejszy królu!
Obywatelu prezydencie,
nad aktami skazańca schylony!
Drży ołówek... drży dostojna ręka...
cięży na głowie korona.
Wiem — to straszne napięcie.
Rozumiem — to męka.

(„Sąd skazał,
ale prezydent zmazał.
Sąd się na życie człowieka rozsierdził
i król zatwierdził!”...)

Za chwilę twój ołówek nakreśli zygzaki liter:
„tak” lub „nie”.
„Tak” — w piętle się zaciśnie oślizgły soliter,
„nie” — wróblem kaźniwego w roześmiane dnie.
„Tak” (przeczytaj odwrotnie) — ma czerwony kaptur
i brzmi jak suchy pilotyny trzask.
„Nie” — to echo radosne od miejskiego traktu
i słońca blask.

O, najjaśniejszy królu! Panie prezydencie!
Tu nie ma dylematu, to prosty aksjomat:
połóż rękę na sercu — co? bije zawzięcie...
otwórz okno — patrz: niebo i soczyste pnie,
wciągnij głębiej do piersi powietrza aromat
i napisz olbrzymie N I E !

Granat

Lubię na palcach kobiet w pierścieniu rżnięty granat,
lecz wolę czuć pod ręką prężny ich piersi granat.

Lubię w wierszu raniący słów pękających granat,
lecz wolę wzrokiem płynąć przez gwiazdny nieba granat.

Najpiękniejszy, tatrzański granitowy jest Granat).

Obłoki i opoka

Pisałem w jednym wierszu przed dziesięciu laty:
„Miłsze zawsze mi będą wędrownie obłoki
nad niezawodny stopom twardy grunt opoki”.
Pisałem to, gdy jeszcze huczały armaty,
gdy pod nogami ziemia nie była „opoką
twardą i niezawodną”, a lepka posoką
złani w męce ginęli z narodu najpierwsi.

Pisałem tak, niedawno sam wyrwany kaźni,
śmierci w oczy patrzący przez długie miesiace,
niewolnik za drutami, gdy piece gorące
czekały na paliwo, dym z ciał ludzkich buchał
urągając okrutnej Goyi wyobraźni.

Wiem, ksztuśząc się wolnością, deklarując: jestem,
witając lot obłoków, rzuciłem z protestem
te słowa, ale protest był to płęknoducha.

Gdy genialny młodzieniec domagał się skrzydeł,
nie zamierzał uciekać ku lotnym obłokom,
lecz chciał nad martwym światem unieść się wysoko,
by z góry objąć wzrokiem całą jego krzywość,
a potem zburzyć wszelkie spleśniałe zapory
i pchnąć wraz z przyjaćielmi go na nowe tory.

Dziś jak wtedy odczuwam widm obłocznych kształty,
strzępiące się o Tatry, lecące nad Bałtyk,
lecz czuję pod nogami twardy opór gruntu
i stojąc na apoce wiem, że trzeba buntu.

Opoka, ale jaka? Nędzna jałowizna,
poszarpana lejami i krwią użyźniona,
by się bujnie rozkrzewiła na niej mogły osty,
czy zielona, kwitnąca dla wszystkich ojczyzna,
co dzieci swe jak matka przytula do łona
i wita je uśmiechem radosnym i prostym?

Opoka, ale jaka? Opięta drutami,
zza których wylazają bladej wiał oblicza,
niewolników, co jęczą pod smaganiem bicia,
gdy ten karki i dusze im przy pracy lamie,
aby brzuchy oprawcom pęczniały bez trudu?

Czy też przestrzeń otwarta, każdemu dostępna,
gdzie w pracy dobrowolnej dzieł za dniem się splećza
w radosnym przeświadczeniu, że jej plon dla ludu?

PRZEKŁADY

Stiepan Szczipaczow

Eugeniusz Jewtuszenko

Sergiusz Jesienin

Jam anioł

Powolnie odchodzimy wszyscy
Tom gdzie spokój i gdzie cisza błoga.
Może tonet już czas nakaze bitki
I w tym szacunkom iść znikomym w drogę.

Gaju słodka, co tak w uwal chłodzisz!
Ziemio droga! Piasku równin złoty!
Przed orszakiem tym, co w cień odchodzi,
Już nie mogę ukryć swej tęsknoty.

Uchochałem nazbyt na tym świecie
To, co dusze w ciało przyobleka.
Pokój drzewom, które w znojnym lecie
Zapatrzyły się w różnowość rzeki.

Wiele myśli przemyslałem hardych,
Wiele pieśni ułożyłem tkliwych
I na ziemi tej, na ziemi twardej
Tym, że żyłem, byłem ja szczęśliwy.

Zem całował asia, co najslodsze.
Dęptat kwiaty, w trawie łak sie tarzał
I ze zwierzat, niby braci młodszych,
Nadym, nigdy nie bił sie nie odważał.

Wiem, że żadne żyto tam nie schodzi.
Zadne gaje kwiecilem swoim nie pieszczą.
Przed orszakiem tym, co w cień odchodzi,
Czuć dlatego bede zawsze dreszcze.

Wiem, że w kraju tym, gdzie się obudam,
Zadna niwa sie nie zazieleni.
I dlatego drodzy mi sa tudaśle,
Którzy ze mna żyja tu na ziemi.

Może czas nam szczęścia nie poskapi.
Każda chwila z toba jest mi słodka,
Lecz rozłąka w jakimś dniu nastapi.
Ta, po której już nie będzie spokoju.

Tylko gwiazdy w czyjejsz schadzki chwile
Będa saczyć wciąż swe światło blade.
Jak ja wtedy w zinnym gwiazdnyim polu.
Uchochana, znajde twoje ślady?

Bulat Okudźawa

Zasypia moje miasto. No, ale cóż mi z tego!
Ja byłem jego chłopcem i właściciel byłem jego.
Byłem jego żalnierzem i robotnikiem byłem,
a ono zbudziła miłość miła darzyło
i zbud ostrożnie rękę mi swoja udawało.
pamiętało mnie w piątek, w świątek zapominało.
I jeśli kiedyś zginę, i jeśli żyć przestane,
czy ono wtedy z krzykiem rozpaczny ze snu wstanie?
Czy wysła, zamucone, nim zaini dzień wspominały.
szczęśliwe swe kobiety, by mnie oplakiwały?..
Lecz z każdym dniem wciąż czyściej i wciąż je
kocham anietoniej
i z tej miłości swojej mych bogów co dzień rzeźbię,
Niezaga mi nie trzęda, nie chce współuczucia głosów:
wystarczy mi gitara i paczka papierosa.

Nie raje.
Kocham swoją żonę.
Swoja —
podkreślam wam to słowo.
tak po anielsku żyję sobie,
że Szczipaczowa bura sypował.
Od tego życia wiedzę prawie.
Do kobiet wcale nie odchodzi.
I nagle

boli mnie coś ramie.
Oho!
To skrzydła równa — esuji.
Rosna.
Rad nierad niespodziance
myśle:
to rzecz nie do pojęcia!
Teraz na pewno w marynarce
wypadnie zrobić dwa wybiecia.
Jam anioł.
Na nic się nie żale.
choć życie glaskać może nie raczu.
Jam anioł.

Tylko to, że pałę.
Jestem z aniołów tych — palacz.
Aniołem być —
to dziwna sprawa.
Duch tylko.
Ciała ani grama.
Wśród tych kobiet się obracam.
Po co im anioł?
I w tym dromol?
Na razie szanse moje słabe.
na razie mam niebiański urząd
lecz zważcie:
najstraszniejszy diabeł
był też aniołem,
wien sie wzburszył

Jaworskiego

A gdy już przeorze opokę oporną,
że każdemu obrodzi chlebem i pokojem,
wtedy kiedyś w pogodną godzinę wieczorną
wiem, że sięgnie robotnik po te wiersze moje,
a potem spojrzy nagle w nieba strop wysoki,
i szepnie: „Jakie piękne płyną tam obłoki!”

Książki

Emulsja myśli, uczuć wywar,
zar nienawiści i miłości,
To głos spod ziemi się odzywa
tych, których już spróchniały kości.

Pomyśleć: dawno już nie żyją,
proch ich zespolił się z macierzą,
a jednak serca ich wciąż biją
z kart, które na tych półkach leżą.

Gdy książkę bierzesz więc do ręki,
czyż to z pokorą ducha wielką,
bo z ludzkich bólów, z ludzkiej męki
stała się turoją karmicielką.

Z cyklu: Wiersze dla syna

Elegia

A one trwają zawsze z ostrych wierzchów pila,
za pan brat z wichurami, z chimurami i słońcem —
jak w dni młodości. Ach, kiedyż to było!
Co jest zrazu początkiem, musi stać się końcem...

Iluż dzisiaj zabrakło, z kim się tam chodziło:
ludzi sercu tak bliskich, urwiska depczących.
Byliśmy wszyscy młodzi. Ach, kiedyż to było!
Wszystko, co się zaczyna, tak samo się kończy...

Me serce bije, chociaż brak mu siły.
Już ku szczytom się nie pnę — tylko je wspominam.
A tyle ich zdeptałem... Ach, kiedyż to było!
Wszystko musi się skończyć, co się rozpoczyna...



Kazimierz Andrzej Jaworski dziękuje za przyznaną mu złotą odznakę Zasłużony dla Miasta Lublina (1972 r.).

Karel Capek

Bajki

KOGUT

Jeszcze nie świta. Jeszcze nie dałem sygnału.

CHWAST

Wspaniałe drzewo, ba! Poczekajcie, jak ja będę miał pięćset lat.

MUCHA

Marne czasy. Ale podczas wojny, dziewczęta, ileż było tych pięknych trupów.

PAPIEREK NA WIETRZE

Z drogi! Teraz my lecimy!

ZÓŁW

Dlaczego nie skaczą jak żaba? Z zasady.

PAJĄK W SIECI

Czekanie to też jest harówka.

SMIETNIK

Pańszczyce, jak rosnę! To dopiero żywotna siła, co?

CHORAŚCIEWKA

NA WIETRZE

Tak, teraz zrobieńlam kierunek.

KAMIEN

Ten mech na mnie? No cóż, rośniemy, rośniemy.

IMPERIALISTA

Równowaga sił polega na tym, że my mamy przewagę.

ANONIM

Człowiek ma swój honor. Nie podpisałby się pod tym swoim nazwiskiem.

OBYWATEL

Przekląty rząd! Znowu mi się nie pali cygare.

CYKLON

Pięćdziesiąt miast zniszczonych! Co za wspaniałe sukcesy!

PRACODAWCA

Osem godzin pracy, jak to? Myślicie, że wydaję pieniądze tylko przez osem godzin dziennie?

PLUSKWA

Każdy ma w życiu zapatrywania. Ja na przykład śmierdę.

WILK

Ten baranek miał złe zamiary. Chciał się przede mną ukryć.

DZIEŃ DZISIEJSZY

I ja będę miał wspaniałą przeszłość.

Ludzkie, co poetyckie

Zygmunt Mikulski

PISAC o Kazimierzu Andrzeju Jaworskim to pisać nie o nim samym. Są ludzie, o których mówi się jako o instytucjach; KAJ był stylem. Pomiędzy już zasługę założenia literackiego pisma, a więc wyawansowania jednego z prowincjonalnych lubelskich miast do rangi kulturalnego ośrodka w skali kraju. Ale nawet pełniąc funkcję redaktora, jakże był nieredaktorski, w znaczeniu: niekonwencjonalny. „nietaśmowy” „poszczególny”. Nietypowy; prototypowy. Weale nie Jowisz druku, przed którym drżyciele debiutanci, bo może mu nie przyjąć humor wydrukowania waszych arcydzieł. K. A. Jaworski założył „Kameny” jakby w interesie młodych, którzy z jej powstaniem mieli gdzie zapukać. Owszem — Czechowicz, Lobodowski, Piętaś. Przyboś (nawet późniejszy laureat Nobla, Miłosz, miał w tym piśmie coś w rodzaju swoich postjuweniliów), ale ile nazwisk, następnie w literaturze znanych, opierzenie otrzymało w grzędzie „Kameny”!

I rzecz szczególna: pismo, aczkolwiek wyraźnie deklarujące swoją pozycję, mianowicie po lewej stronie barykady, to jednak nie związane z żadnym politycznym ugrupowaniem. Ani prostanacyjne, jak „Wiadomości Literackie”, ani endeckie, jak „Prosto z Mostu” ani katolickie, jak poznańska „Kultura”. Łączyło to się z charakterem KAJ-a, który miał w sobie coś „niezyciowego”. Jakąś „prześadną”, „donkiszotowską” zasadniczość. Zdecydowany rygor pryncypiowości, nawet trochę staroświecki, w dodatku znaczeniu dziewiętnastowiecznym. Praktykowany w sprawach nawet nie pierwszej wagi, nawet wtedy, kiedy trochę ustępstwa, nie świadcząc o zmięczeniu kręgosłupa, przynosiłoby per saldo korzystny skutek. Ale ustąpić? To nie po jaworsku. KAJ ustępował ludziom, jeśli potrzeba okazała im życzliwości tego wymagała. Nie ustępował błędnym zasadom bez względu na to, jak blóego przedmiotu w danym wypadku dotyczyły.

Nazwisko jedno z najbardziej lubelskich. Chełmskie do roku 1942, kiedy K. A. Jaworski stał się lublińskiem, zaczął pracować w redakcji „Sztandaru Ludu” jako kierownik działu kulturalnego i wtedy zaraz starania o reaktywowanie „Kameny”. Te rozmowy z dawnymi kolegami refleksyjnymi, świadkami ich nasuwające skojarzenia bardziej z wishful thinking czy tylko z pogwarką o tym, co sercu bliskie, niż z wysunięciem sposobu praktycznego działania, ale — oto cud — abstrakt stał się faktem. Trzeba w tym przyznać pewną zasługę Wacławowi Gralewskiemu, który lubił być ceniony za znajomość funkcjonowania trybów administracyjnych i z tej znajomości korzystał, ale nawet najlepszy poker z biurokracją nie przynosiłoby wiele bez pozycji „Kameny” znanej przed i uznanej po wojnie.

Lublin dostał pismo. Jakże to ma znaczenie, może stwierdzić przede wszystkim natura literackiego adeptów, a ówczesnego tym bardziej, że tamto ostrogi literackie — przy scentralizowanej polityce kulturalnej i zadekretowanym już socrealizmie — można było zdobyć jedynie z przyzwolenia centrum, które nie szastało iaskawością dla prowincji. Tak więc nastąpiła jakaś kon-

kretyzacja. „Nowa Kultura” mogła być dalej mitem dla piszącego w Lublinie, skoro powstało w tym mieście źródło publikacji z preferencją dla miejscowych, a więc jakby własne i mimo że nie bezkrytyczne, to jednak nie kierujące się prokluzją związaną ze stopniem otrząskania nazwiska czy miejscem zamieszkania autora. Chodziło się do „Kameny” nie tylko po wymierzenie literackiego dokonania, ale także często po wsparcie na duchu i propozycje do kierunku dalszych usłowań.

A w sprawie socjalistycznego realizmu, K. A. Jaworski nie był dogmatykiem „na nie”. Pamiętam jego uznanie dla Mandalliana po ukazaniu się „Dziś i jutro”. I rzeczywiście, był ten wiersz wyrazem tendencji już opozycyjnej wobec zaledwie zaczynającego się schematyzmu, nawet w poetyce naśladowczej wnosil elementy oryginalnego poetyckiego spojrzenia. Zresztą. Cokolwiek się pisze o kalkowaniu Majakowskiego, a więc o epigonstwie, trzeba przyznać, że to poetyckie „soc” miało, jedno: szkołę dobrego rzemiosła. O ileż — mimo stylistycznego strychulca — chętniej przyjęta przez czytelników, niż dalsze konwencje bez znaczenia i formalnej bylejałości, przez samych piszących traktowana jako nowatorstwo. K. A. Jaworski, uparty tradycjonalista (ilu jest takich wśród poetów!), nie miałby wiele do powiedzenia z teraźniejszymi nowofakowcami, ta koegzystencja polegałaby tylko na towarzyskim konwenansie.

Miał coś krępującego. W czasie głajchazantunku i deprecjonowania wartości pod pozorem postępu styczność z nim przyjmowało się jak wytchnienie od „prześ”, jak coś świadczącego, że „nie wszystko przepadło”. Kilka z nich kroków na ulicy przyjąłbym jako zajęcie na obszarze eksterytoryalnym w stosunku do sakru spraw publicznych, skazyanych uwag-szczeniem, a nawet prostactwem sądów. Kiedy między nim a kierownictwem „Sztandaru Ludu” doszło do niezgody, został kierownikiem Literackim Artobu. Pamiętam go zawsze przebywającego na swoim miejscu przy stole (dokładność w szczegółach zachowywał ze skrupulatnością urzędnika), zawsze chętnego odwiedzić kogoś z młodych łączących nas wyrozumiałość doświadczonych redaktorów, a także — co nie zawsze idzie w parze — poety. Jeśli nie miał uznania dla młodej poezji awangardowej, nierzadko przecieł nacechowanej skłonnością do epato-wania pozorami oryginalności, miał życzliwość dla młodych piszących. Z jego inicjatywy jako kolonisty Seminarium Nauczycielskiego w Chełmie powstała poetycka grupa „Przymaty”, o której mówiło się: „chełmska podchorążówka poetycka”, jak o grupie poetów skupionych koło księdza Zalewskiego w Lublinie: „lubelska poetycka parafia”.

I jeszcze jedno, co z K. A. Jaworskiego osobowości pozostaje jako przekaz czasowi dalszemu: czystość ocen artystycznych. Potraktowanie czyjegoś dzieła przez KAJ-a nigdy nie było skazane osobistą niechęcią do autora, choć bywało, że z tym i owym adarzył się jakiś pieniek. Ten pieniek dla KAJ-a nie był kryterium literackim, co nie o wszystkich dzisiejszych „a branży” da się powiedzieć.

Iść zostawiając wiersze własne i uznanie dla innych, świadectwo szczerości i życzliwości, prawość charakteru i rzetelność miary — czy mało na jedno życie? Ale 28 listopada 1987 roku Kazimierz Andrzej Jaworski obchodziłby dziesięćdziesiątą rocznicę urodzin. Jakże ochoczo wznieslibyśmy wówczas „dwaście lat”!

Jeszcze dwa lata temu odpo-
wiedz na pytanie o najbardziej
poczytne książki w Związku
Radzieckim nie sprawiała szcze-
gólnych trudności. I zwykły czytelnik
radziecki, i doświadczony bibliotekarz
bez dłuższego namysłu wymieniliby
pięć—sześć pozycji, jakie wyszły spod
pióra uznanych autorów — Wasyla
Bykowa, Wiktora Astafiewa, Walentina
Rasputina, Czjngiza Ajmatowa,
Walentina Pikula, Juliana Siemiono-
wa...

Dziś „najbardziej poczytanych” ksia-
żek jest o wiele więcej. Na miano best-
sellerów zasługuje co najmniej dwa-
dzieścia — dwadzieścia pięć utworów.
Przy czym niektóre z nich są dziełem
do dziś nie znanych krytykowi lub
rzadko drukowanych autorów. Czo-
pisma literackie rozchodzą się błyska-
wicznie. W każdym z nich prawie za-
wsze są rzeczy budzące zainteresowa-
nie, wywołujące spory i dyskusje. Cze-
sto dlatego, że pisarze zwracają się ku
„białym plamom” i ukazują wydarzenia,
o których wcześniej nie mówiła
literatura, a i nie tylko ona.

Trzy utwory, o których będzie mowa
w tym niewielkim przeglądzie poświę-
cone są ciężkim i skomplikowanym,
pełnym surowych prób czasem kuitu
jednostki.

Aleksander Bek — „Nominacja”. Po-
wieść niezwykle ciekawa z każdego
punktu widzenia — historycznego, po-
litycznego, psychologicznego, nie mó-
wiąc już o niewątpliwych walorach
artystycznych. Na jej kartach pojawia-
ją się postacie historyczne — Stalin,
Beria, Ordżonikidze... Również główny
bohater Aleksander Onisimow, stalino-
wskij minister, posiada swój realny
prototyp.

Wydawałoby się, że Onisimow jest
człowiekiem rzeczywiście uczciwym.
Nielasy na komfort, skromny, jeśli cho-
dzi o potrzeby, niezwykle pracowity i
rzetelny w pracy, obowiązkowy. Jest

zawsze surowo i skromnie ubrany. Su-
rowo i chłodno jest w jego gabinecie
i mieszkaniu w mieszkaniu, co praw-
da, stoi wazon na kwiaty, ale kwia-
tów nie ma. Za to w każdym pokoju,
nawet w sypialni, wisi portret Stali-
na.

Autor ze zdumiewającym mistrzo-
stwem pokazuje, jak szczerze oddanie
rewolucyjnym ideałom mijają, zamienia

Radzieckie bestsellery:

Odkrywanie „białych plam”

Gawril Petrosjan

się w osobiste oddanie Stalinowi, bez-
względne podporządkowanie się jego
rozkazom. To osobiste oddanie wypa-
cza osobistą uczciwość, sumiennosc,
bezinteresownosc. Człowiek się zmie-
nia, stopniowo, lecz nieublaganie.

Aresztują jego brata. Onisimow wsta-
wia się z nim. Ale Stalin radzi mu
więcej nie myśleć o bracie, podkreśla-
jąc, że osobiście jemu, Aleksandrowi
Onisimow, ufa. I Onisimow jest mu
posłuszny. Nawet wypracował sobie
odruch: „Nie mnie o tym sądzić”.

Rozumie, że Stalin nie ma racji, że
się myli, jednak wypełnia jego wole
— buduje fabrykę do produkcji stali
według nie sprawdzonej technologii. To
drugi odruch: „Nie dyskutować”.

Ale oto nastają inne czasy. I „były
kolos epoki Stalina — jak pisze zna-
ny radziecki krytyk literacki Igor Zo-
lotousski — nastawiony, jak automat,
na jeden cykl, na jeden system pracy.

przy zmianie systemu rozpada się, nie
wytzymuje”. To prawda, do końca
jest przekonany bądź przekonuje siebie
o tym, że był uczciwy. Mówi do syna:
„Trzymaj głowę prosto, bądź taki jak
ja”. Ale nawet syn wątpi w słuszność
jego drogi...

A oto historia o innym ojcu: Włodzi-
mierze Amliński — „Usprawiedliwiona
będzie każda godzina...”. Powieść ta jest
jednym z trzech utworów (obok „Zu-
bra” Daniila Granina i „Białych szat”
Włodzimierza Dudincewa) poświęconych
niełatwej walce prawdziwych naukow-
ców z dogmatyzmem panującym w na-
uce biologicznej. Autor pisze o swoim
ojcu, o uczciwym życiu naukowca, bro-
niącego prawdy w obliczu bojowo na-
stawionych ignorantów. Myślę, że miał
rację znany literaturoznawca Jurij An-
driejew, który nazwał książkę Amliń-
skiego „analizą tych wartości moral-
nych, które pozwoliły człowiekowi, in-
teligentowi zachować godność mimo u-
razów duchowych i gróźb, za którymi
stały najpoważniejsze z wszelkich mo-
żliwych następstw”.

W powieści jest mowa o akademiku
Lysence, „akademiku ludowym”, który

znał prawdę i świadomie okłamywał
naród, o atmosferze, jaką wytworzył w
nauce biologicznej o szkalowaniu eta-
lentowanych ludzi. Niemniej książka,
jak zauważył jeden z recenzentów, zo-
stała napisana „w pastelowych bar-
wach”. Rzeczywiście jest liryczna, chwila-
mi wruszająca, co nie przeszkadza jej
być nie tylko biografią samego autora
i jego ojca, ale i biografią czasów. Wy-
jaśnia, dlaczego niekiedy wbrew zdro-
wemu rozsądkowi zwycięża dogmat.
I uczy, że droga do prawdy nie może
prowadzić przez kłamstwo.

Powieść Anatolija Pristawkina nosi
piękny tytuł — „Nocowała złota chmur-
ka...”. Ale jej treść jest ciężka, ciężka
nawet dla niezbyt wrażliwych ludzi.
Krytyka niemal jednogłośnie — bardzo
wysoko oceniła walory artystyczne u-
tworu i ostro „pazur” autora.

Jest to opowieść o dwóch chłopcach
— bliźniakach z domu dziecka. O ich
życiu w trudnych latach wojny. Pozba-
wieni rodzicielskiej opieki, zbyt wcześ-
nie poznali zło, krzywdę, niesprawie-
dliwość, doświadczyli głodu i chłodu.
Los rzucił ich na Północny Kaukaz, do
Czeczeno-Inguszetii. W tym właśnie
czasie wysiedlano stąd przymusowo
rdzennych mieszkańców (przed A. Pri-
stawkinem jeszcze nikt w radzieckiej
literaturze nie pisał o tej tragedii).
Część Czeceńców ucieka w góry. Roz-
wścieczeni, niczemu nie winni ludzie
zaczynają się mścić i zabijają niewin-
nego chłopca, jednego z bliźniaków...
Nie ma sensu opowiadać treści — ten
utwór wart jest, aby go przeczytać.
Powieść Pristawkina, tak jak i dwa po-
zostałe wymienione utwory, jest nie
tylko ciekawa. Pozwala ona zrozumieć
źródła przebudowy, odbywającej się w
Związku Radzieckim i sens jawności.

Narkotyki tańsze niż kultura

Dokończenie ze str. 1

łość — 12,11 proc., kryzys egzystencjalny — 12,51
proc.), b) w kontaktach rówieśniczych (namowa —
27,87 proc., poszukiwanie akceptacji — 23,41 proc.),
e) w sytuacji rodzinnej (trudna sytuacja rodzinna
— 11,30 proc.). W grupach deklarujących fakt uży-
cia (lub używania) narkotyków, obok wspomnia-
nych powyżej przyczyn, wyraźnie akcentowano tak-
że: w sferze osobowości — poczucie odrzucenia
(15,96 proc. badanych), w sferze ogólnospołecznej
— protest przeciwko aktualnej rzeczywistości (10,14
proc.), w życiu szkolnym — kłopoty związane ze
szkołą (14,49 proc.) i w sytuacji rodzinnej — kon-
flikty i nieporozumienia (10,68 proc.). W porówna-
niu z wynikami badań z roku 1982 zaobserwowano
spadek znaczenia przyczyn politycznych (z 2,90 proc.
do 0,26 proc.) oraz wzrost znaczenia protestu prze-
ciwko ekonomicznej rzeczywistości (z 2,70 proc. do
5,52 proc.).

Wspomniana anketa wykazała ponad wszelką
wątpliwość, że zagrożenie narkomania młodzieży lu-
belskiej w ciągu ostatnich czterech lat wzrosło, a
także i to, że świadomość tego zagrożenia wśród
rodziców i pedagogów jest alarmująco niska.
Stwierdzenia takie wspierają, z jednej strony,
wskaźniki liczbowe osób deklarujących bezpośred-
nie (6,00 proc.) lub pośrednio (6,78 proc.) fakt uży-
wania środków odurzających (łącznie 12,78 proc.
badanych), z drugiej zaś, łatwość kontaktu z oso-
bami odurzającymi się (44,46 proc. badanych ma
w swoim otoczeniu narkomanów) i brak zahamowań
przed tego typu relacjami, czy też wręcz dążenie
do nich. Jedynie 8 proc. indagowanych nauczycieli
i rodziców świadomych było faktu istnienia narko-
manii w swoim najbliższym otoczeniu.

Narkomania nie jest problemem wycinkowym,
możliwym do zakatwienia jednorazową akcją; to
część ogromnego obszaru patologii społecznej —
część tym groźniejsza, że trudno poddająca się pe-
netracji, i tym tragiczniejsza, że dotycząca naj-
młodszych. Niepokojąco kurczy się stałe bariera
wiekowa narkotycznej inicjacji. Statystyki, jakie
posiadamy w tym względzie, są bardziej złudne niż
zestawienia z innymi dziedzinami życia. Picie alkoholu
bywa przez środowisko wyczuwalne natychmiast,
palenie „trawki” długo pozostaje nieuchwytnie.
Tymczasem praktyki takie należą do codziennego
rytuału młodzieżowych prywatek. Kiedy ujawnia
się prawda, na interwencję bywa już z reguły za
późno.

„Przed dwoma laty przetożycza się przez kraj
fałs dyskusji — mówi działaczka Rady Wojewódz-
kiej PRON w Lublinie, Krystyna Patyra — nie-
stety bez podjęcia konkretnych wniosków. Ogra-
niczono się w praktyce dowołania «Walczmy
z narkomania!» Za słowami nie podjęły czynu.
Pozornosc działań to nie tylko choroba naszej go-

spodarki, rozlewa się ona również na sferę dzia-
łań społecznych. Podejmowaniu inicjatyw staje na
przeszkodzie niewyobrażalny wręcz marazm ogó-
lu. Przechodzenie się pod poprzeczką wskaźni-
ków — oto nasza norma. Tak zniweczono między
innymi idee zorganizowania w Lublinie «białego
Jarocina»”.

Fakt rozbijania przez narkomanie gładkiego
konterfektu województwa czy regionu i idącą za
tym niechęć do pogodzenia się z faktami podnosili
także dyskutanci na Forum. Mówili o braku
wsparcia ze strony władz administracyjnych w
swoich rejonach działania. Tymczasem również
władze wojewódzkie i miejskie Lublina nie zro-
biły jak dotąd nic w tej mierze; żadna dotacja nie
spłynęła z tej strony na Fundusz Zapobiegania
Narkomanii. Nie większą aktywnością mogą się
pochwalić władze oświatowe. (Od kilku miesięcy
czeka w Kuratorium na zatwierdzenie projekt or-
ganizacji ośrodka dla „butapreniarzy”). Proszone
o wsparcie zakłady pracy zastaniają się własnymi
trudnościami fiskalnymi, choć są wśród nich au-
tentyczni potentaci. (Chlubny wyjątek stanowią
tu WZGS w Lublinie i POM — Piotrowice). Cóż,
kiedy w dziedzinie zwalczania i przeciwdziałania
temu groźnemu zjawisku nie było jak dotąd jed-
ności nawet wśród „profesjonalistów”. Przykłady
współpracy TZN z „Monarem” są na terenie kra-
ju specjalnymi wyjątkami. Jedynie Kraków no-
tuje w tym względzie jakieś sukcesy. Aluzje
i złośliwości pod adresem Marka Kotańskiego pa-
dały i na lubelskim sympozjum. Wielu odebrało
je jako typowo rodzime ściąganie w dół kogoś,
kto się wychylił, kto wykazał się energią, kto wy-
rósł ponad przeciętność. Abstrahuje od realnych
następstw tego faktu, niewiele jest chyba w kra-
ju autorytetów, na wezwanie których kilka tysię-
cy ludzi wzięłoby się bez oporu za rękę. A jed-
nak...

Oddział Lubelski TZN korzysta dwa razy w ty-
godniu z gościnności Wojewódzkiego Zarządu Li-
gi Kobiet Polskich. Wielokrotne monity o przy-
dział własnego lokum pozostają bez echa. Istnie-
jąca dotąd sytuacja pozwala na refleksję, iż każda
z zainteresowanych instytucji uprawia w zakresie
narkomanii swój własny „ogródek”.

Służba zdrowia ogranicza się praktycznie (trud-
no zresztą więcej od niej wymagać) do niesienia
doraźnej pomocy potrzebującym. Przy Klinice
Psychiatrycznej istnieje czterolóżkowy oddział de-
toksykacyjny, skąd po zaleczeniu pacjent trafia
praktycznie na ulicę. Nowością jest działalność
w leczeniu narkomanii Poradni Zdrowia Psychicz-
nego funkcjonującej pod patronatem Kliniki. Pev-
ne wysiłki w tym zakresie, poza działalnością sta-
tutową, podejmuje Kościół i MO. W ogólnej ak-
tywności społecznej przeciwdziałanie narkomanii
nadal jednak pozostaje w cieniu walki z alko-
holizmem. Konieczność szerokiego współdziałania w
zwalczaniu narkomanii jest tymczasem absolutną
potrzebą chwili. I tu dopiero objawia się sens
organizowania sympozjów podobnych do lubelskie-

go. Odkładając bowiem na bok personalne wy-
cieczki, po owym spotkaniu trochę się przejaśniło
w tym dość ponurym stanie dotychczasowego bra-
ku koordynacji i współpracy.

„Po raz pierwszy chyba w Polsce członkowie o-
bu organizacji (TNZ i „Monaru” — WH) posta-
nowili połączyć swoje siły i umiejętności w wal-
ce z narkomania — powiedział szef lubelskiego
punktu konsultacyjnego „Monaru”, Janusz Kocz-
berski, a „Kurier Lubelski” opatrzył tę wypo-
wiedź znamienym tytułem „Pierwsi w Polsce po-
dali sobie rękę”. — Zamierzamy skończyć z dy-
skusjami i naradami na wysokich szczeblach i za-
brać się do organizowania konkretnych przedsię-
wzięć. TZN obiecało wsparcie kadrowe i propa-
gandowe. «Monar» służyć będzie między innymi
lokałem”.

Naczelnik Wydziału Kulturalno-Politycznego KG
MO mówił o rozszerzeniu działań organów ściga-
nia na sferę inicjatyw wychowawczych i szeroko
pojętą profilaktykę. Obecny na spotkaniu przed-
stawiciel biskupa lubelskiego deklarował wzmożo-
ną aktywność Kościoła. Przedstawiciel Kurato-
rium Oświaty i Wychowania mówił o inicjaty-
wach pedagogów. Czy za deklaracjami pójdą dzia-
łania, pokaże już życie. W każdym razie deklara-
cje te zabrzmiały poważnie, a podpisanie umowy
między TZN i „Monarem” stanowi swoistą gwa-
rancję odmiany na lepsze.

„Pojawiające się tu i ówdzie stwierdzenia, że
problem narkomanii mamy już opanowany — mó-
wi dr Zbigniew Gaś, prezes Lubelskiego Oddzia-
łu TZN — są niebezpieczne. Odwracają bowiem
znowu społeczną uwagę od tego zjawiska. Narko-
mania jest chorobą naszej cywilizacji i niestety,
istnieć będzie długo. Problem tylko w tym, by nie
rozwijala się w takim tempie jak dotąd. Dzia-
łania zapobiegawcze powinny zmierzać w trzech za-
sadniczych kierunkach. Przede wszystkim ograni-
czenia dostępu młodzieży do narkotyków, skana-
lizowania narkotycznego rynku na marginesie prze-
stępstwa. Po drugie, kształtowania postaw mło-
dych ludzi w kierunku przeciwstawiania się presji
otoczenia, uczenie ich po prostu mówienia «nie».
I po trzecie, sterowanie działaniami grup młodzieżo-
wych w kierunku postawy kreatywnej. Do tego
potrzebne są jednak możliwości autentycznego
wyboru, stworzenie modelu sensownego wypełnia-
nia czasu, zbudowanie szerokiej bazy w zakresie
rozrywki i rekreacji. Tymczasem nasza rzeczywi-
stość w tym względzie jest po prostu tragiczna.
Dzisiaj narkotyki są tańsze niż kultura. I nie są
elitarno”.

Towarzystwo prowadzi działalność propagando-
wą i wydawniczą, co roku organizuje obozy re-
socjalizacyjne w Bieszczadach, tworzy szkolne ko-
ła przyjaźni TZN. Bez szerokiego jednak spo-
łecznego wsparcia, działania grupki pasjonatów
pozostaną nadal kroplą w morzu autentycznych
potrzeb. Lubelskie Forum Dyskusyjne było ko-
lejnym apelem o wsparcie. I dlatego właśnie nie-
dobrze się stało, że na sali zabrakło dziennika-
rzy. Do walki z narkomania musi się bowiem włą-
czyć jak najszybciej całe społeczeństwo. Mamy
znakomitą ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii,
zbyt wielu wszakże jeszcze ludzi sądzi, że akty
prawne ułatwiają wszystko.

Wiesław Horabik

Bułgarzy idą...

W PAŹDZIERNIKU Bułgarzy pokazali w „Zachęcie” stosunkowo niewielką wystawę malarstwa i rzeźby, która dla mnie okazała się przecież wielkim zaskoczeniem. W kraju tym byłem raptem dwa razy, dawno temu, a teraz nie stać mnie po prostu na plażowe barszkowanie nad Morzem Czarnym, zatem nie wiem dokładnie, co dzieje się i w tamtejszej sztuce. Szukanie stosownych informacji drogą pośrednią, na lamach polskich czasopism artystycznych, jest z kolei trudnym i żalowym albowiem w tych interesach wazelinuje się głównie postaci i zjawiska zachodnie. Waląc się w pierś, aż grzmot przetoczył się od Zamku Ujazdowskiego w kierunku skrzyżowania Alej Jeruzolimskich z Nowym Światem w Warszawie, redakcja dwumiesięcznika „Sztuka” dopiero ostatnio, jakieś dwa tygodnie temu, publicznie złożyła przyrzeczenie większego zainteresowania twórczością krajów socjalistycznych. Inna sprawa, że wymiana informacji, artystów i krytyków między państwami naszego bloku była dotąd sformalizowana i zoficjalizowana, choć Lech, Czech, Rus, Cyryl i Metody mogliby przecież porozumieć się w sposób bardziej zwyczajny i może bardziej pożyteczny.

Zaskoczyli mnie więc Bułgarzy mocno. Obrazy pojedynczych artystów — m. in. Wiery Nedkowej, Nadzieży Kutewej, Emila Stojczewa, Keazymia Isynowa, Wichrony Popnedelewa — widywałem co prawda na szczytnych Prezentacjach Malarzy Krajów Socjalistycznych, na ogół z satysfakcją notując je w pamięci, ale były to zaledwie fragmenty większej całości, której struktura falowała w mgiełce domysłów. Owszem, zetknąłem się z jeszcze jednym źródłem informacji o współczesnej plastyce bułgarskiej, ucieleśnionym w postaci Dymitra Dymitrowa, złotoustego krytyka, który ukończył historię sztuki w Uniwersytecie Warszawskim, biegle włada polszczyzną i działa na dwie strony: propaguje twórczość swojego kraju nad Wisłą i Odrą, przekonując jednocześnie rodaków, że nasi artyści wielcy są. Szkopuł w tym, że z Dymitrowem zetknąłem się tylko raz. Liczę jednak na kolejne spotkania w przyszłości, albowiem swego czasu, dając wiarę donosom ze stolicy, które wkrótce i na szczęście okazały się fałszywe, gotowałem się do zamieszczenia w „Kamieniu” wzruszającego... nekrologu Dymitrowa, co jak wiadomo gwarantuje takiemu „denatowi” długie życie.

A zaskoczyli mnie Bułgarzy różnorodnością, rozmachem, inwencją i dynamiką twórczości pokazanej w „Zachęcie”.

Wiem, taka konwencjonalna charakterystyka budzi nieufność, jako że okrągła i ładnie brzmiąca frazeologia kryje zwykle mizerną istotę rzeczy. Jeśli dodam jeszcze, że na wystawie widziałem pejzaże, portrety, sceny figuralne (w dziale malarstwa) oraz akty, torsy, zwierzęta i popiersia w rzeźbie, to sprawa stanie się dla czytelnika jasna: nasz sprawozdawca bredzi kurtuazyjnie, może w cichej nadziei, iż Bułgarzy, choćby minister Jordanow, zaproszą go na cenione, międzynarodowe Triennale Malarstwa Realistycznego w Sofii, którego kolejna edycja rozpocznie się już wiosną przyszłego roku.

Wobec tego wypada wskazać, że brązowe rzeźby: „Koza” Władymira Ignatowa, „Mojemu ojcu” Bogomila Ziwkowa i „Akt” Mitko Dinewa oraz obrazy: „Wspomnienie” Georgi Bajewa, „Portret” Deczko Uznowa, „Pejzaż” Swetlina Rusewa, „Lato” Wiery Nedkowej, „Zaduszki” Nadzieży Kutewej, „Prorok” Nikołaja Majstrowa, „Nocny dziennik” Emila Stojczewa, „Kompozycja z ptakami” Georgi Bożyłowa, „Konstruktywne wnętrza” Dymitra Bunklijskiego, „Pejzaż XXIV” Genko Genkowa czy „Ostatnie tchnienie” Anety Dryguszana — że tylko te prace, przywołane dla przykładu, przedstawiają się niczym grupa ludzi o odmiennych, ostro zarysowanych osobowościach.

Uchwycenie owych różnic nie sprowadza się do stwierdzenia obecności odmiennych konwencji, postyki manier, punktowanych koloryzmem, realizmem, rozstrzygnięciami metaforycznymi, konstruktywistyczną geometryzacją, albo — uwaga! — „nową ekspresją”. Tej kwestii nie wyczerpuje też inwentaryzacja tematów, motywów czy ideowych kontekstów twórczości Bułgarów, z jednakowym przejęciem interpretujących pejzaże i architekturę ciała ludzkiego, jak nachylających się nad powikłaniami człowieczego losu. Prawdę mówiąc, nie jestem w stanie precyzyjnie określić momentów, które tak interesująco różnicują sztukę bułgarską. Może należałoby pogawędzić o duchach, bytach wszak bezwzględnie indywidualnych, acz w pełnej okazałości ujawniających się tylko w sprzyjających okolicznościach...

Z innego punktu widzenia rzecz rozpatrując, spostrzeżemy jednak coś, co łączy artystów bułgarskich: witalność i szacunek dla reguł rzetelnej roboty plastycznej.

W wystawie uczestniczyli malarze i rzeźbiarze z różnych pokoleń: od dostojnej Wiery Nedkowej (ur. 1908), która zresztą młodość spędziła poza krajem ojczystym, do Nikołaja Stojczewa, liczącego lat 30, ale w tkance materialnej i strukturach formalnych większości dzieł tej wielopiętrowej rodziny pulsowała vis vitalis i ujawniała się estyma dla rękodzielniczej doskonałości. Warto chyba tu wspomnieć, że jeszcze w XIX stuleciu mistrzowie bułgarscy nie mieli statusu artystów, nie cieszyli się pozycją społeczną, właściwą dla wolnych zawodów. Jako rzecze Dymitrow, działali oni w charakterze rzemieślników — malarzy ikon i polichromii.

Współczesna sztuka Bułgarii to organizm wielopostaciowy, żywy, rozwijający się drogą reinterpretacji niektórych wątków własnej tradycji i krytycznej obserwacji kultury uniwersalnej. Wytwory tej alchemii okazują się być oryginalne, atrakcyjne i elokwentne. A pomyśleć, że pierwsza narodowa galeria sztuki powstała w tym kraju dopiero w roku 1948, założona przez Dymitra Ikskarowa.

Na koniec proponuję cytacik z artykułu napisanego kilkanaście lat temu przez Penczo Danczewa, wybitnego literaturoznawcę, krytyka i teoretyka sztuki, który broniąc tożsamości sztuki przed zamachami z prawej i lewej flanki, stwierdził m.in.: „sztuka nie jest tylko «świadomością», «ideologią», lecz «idea» zmateralizowaną, urealizowaną, uprzedmiotowianą, a zatem stanowiącą rezultat specyficznej umiejętności ludzkiej”.

Zdanie krótkie, ale jego sens artykułuje rozległe procesy, zachodzące w kulturze artystycznej bałkańskiego kraju.

Szkic Danczewa „Rzeczywistość — poznanie — sztuka” ukazał się u nas w ramach „Antologii współczesnej estetyki bułgarskiej” (PWN 1979), przygotowanej przez Atanasa Stojkowa i Izaaka Passi. Redaktorem naukowym edycji polskiej tego zbioru był Sław Krzemień-Ojak.

Ciekawa, pouczająca lektura.

IJK

Zachwyty dyktowane fatalnym gustem

ZACHODNIONIEMIECKA firma płytowa Hansa International robi w Europie furor i fantastyczny szmal. Odbiorcom dysków ze znakiem żaglowca nie przeszkadza wcale, że produkt jest wyjątkowo niskiej próby. Przed kilku laty w barwach Hansy szalała kolorowa grupa dyskotekowa Boney M. Dziś licznik firmy nakręca duet Modern Talking Dzieciaki szaleją na jego tle. Amok ogarnął zresztą nie tylko zachodniemieckich nastolatków. Zachwycają się nim równie mocno słuchacze w Paryżu, Luksemburgu, Barcelonie, Rzymie, Budapeszcie i Warszawie. Każda emisja telewizyjna kolejnego szlagieru MT wywołuje szalone emocje fanek i fanów i tysiące listów do redakcji „Wiedeteki” z prośbami o powtórzenie videoclipu Dieter Bohlen i Thomas Anders, bo o nich właśnie mowa, są absolutnymi ulubieńcami dorastających podlotków. Ich uśmiechnięte wizerunki zdobią ściany pokoju niejednej nastolatki, zakochanej bez reszty w muzyce disco.

Historia duetu datuje się od czterech zaledwie lat. Powstał on z inicjatywy obrotowego blondyna Dietera Bohlena — uprzed-

Alive” czy „Geronimo's Cadillac”. Każda z tych piosenek rozchodziła się niczym ciepłe bułeczki wywołując zachwyty, a nawet spazmatyczny śmiech nastolatka. W listach nadsyłanych masowo do Hansy pańienki nie kryły swego uczucia dla czarującego duetu. „Jesteście wspaniali, jedyni, niepowtarzalni!” — powtarzało się w listach i kartkach ekspediowanych z różnych miejsc Europy, także z Polski.

Nie da się ukryć, że oceny fundowane członkom Modern Talking podyktowane były słabymi emocjami. Te zaś nie sprzyjały trzeźwej, obiektywnej klasyfikacji dokonanej największej nawet gwiazdy. W rzeczywistości muzyka oferowana przez młodzieńców z MT nastawiona jest na drenaż kieszonki młodocianego odbiorcy i nie zawiera absolutnie żadnych wartości artystycznych. Zdaje sobie sprawę, że narażam się w tym momencie tysiącom młodych Czytelniczek, ale prawda jest naga — muzyka Modern Talking to typowy kieć, opletający się o kilka prostych akordów.

Potwierdziły to aż nadto przesłane koncerty polowy duetu — Thomasa Andersa



nie absolwenta uniwersytetu w Getyndze, domorosłego kompozytora i po trosze producenta nagrań mniej znanych wykonawców. Dieter przyszywał do tańca w wielu amatorskich zespołach, komponował do szuflady i marzył o stworzeniu grupy, która zapewniłaby mu rozgłos nie tylko w RFN. W 1983 roku przypadkiem usłyszał miękki głos Andersa i zaproponował mu współpracę. Duet nie miał kłopotów z repertuarem. Wystarczyło sięgnąć do szuflady blondyna. Wszystkie jego utwory eksponowały delikatne, nazbyt ucukrzone barwy, w typowo tanecznym nastroju.

Pierwsza wspólna płyta, zatytułowana po prostu „The 1-st Album”, z miejsca zdobyła uznanie. Zawierała, obok „You're My Heart, you're My Soul”, dziewięć piosenek pretendujących do miana superhity. Bohlen nie przypuszczał zapewne, że muzyka, którą wstydliwie dotąd ukrywał przed producentami, zrobi taką karierę. Dziś po wydaniu czterech albumów i kilkunastu singli Modern Talking może szczerzyć się 70 złotymi płytami, zdobyłymi w różnych miejscach świata, i nakładem 22 milionów singli.

Podstawą sukcesu duetu, który zdążył już dzięki żonie Andersa przeżyć dramatyczne chwile groźnego rozwiązania, są przebojowe numery Bohlena i nowoczesna aparatura syntezatorowa. Gdyby nie ona, mit MT szybko ległby w gruzach. Pamiętając o tym, duet pracował głównie w studiu nagrania, rezygnując prawie całkowicie z występów scenicznych. Syntezatorowa konfekcja muzyczna, której MT stał się niemal głównym reprezentantem, najlepiej sprzedawała się w telewizji. Fanki z wyniekami na twarzach mogły dzięki aparaturze video wielokrotnie podziwiać czarujące uśmiechy, modne kreacje i słodkiutki rytm elektronicznych kawałków w typie „Brother Louie”, „Atlantis Is Calling”, „Keep Love

sa w Polsce. Autor wszystkich kompozycji przezornie zrezygnował z możliwości odbycia europejskiego tournée. Miał zapewne świadomość wartości pisanych przez siebie dzieł i wolał nie ryzykować białą. Odmiennego zdania był jego ciemnowłosy partner. Zachęcony przez bardzo bogatą i wpływową żonę Norę do występów zapewniających mu sukces, zdecydował się pokazać w towarzystwie niezłego zespołu w katowickim „Spodku”, wrocławskiej Hall Ludowej, warszawskim Torwarze, poznańskiej Arenie i gdańskiej Olivii.

Koncerty, wzbogacone efektami laserowymi, pokazały, nieszety, małkość Andersowych popisów. Tak marnego, żenującego tandeta programu nie oglądaliśmy na scenach od czasów koncertów włoskiej grupy Milk and Coffee. Oba programy prezentowały ten sam poziom. Nie przekonują mnie absolutnie piski podnieconych nastolatka ani wianki róż rzucane pod stopy idola. Muzyka, jaka pokazał, ma znamiona jarmarcznej blaszany i taka pewnie pozostanie. Zmieniająca się moda przyspieszy detronizację duetu MT. Kto nie wierzy, niech spróbuje bliźkotym karierę Boney M. Dziś, dawni entuzjści nie mają wątpliwości, że program czekoladowo kwartetu zawierał absolutnie nieopracowaną, lukrowaną chleb. Materiał serwowany przez Modern Talking nie odbiega od tego schematu. Nie kupie nowej płyty jeśli nie taka która nie będzie na kolaniech podtrzymywała jej wspaniałych dziwek. Niech to robią do czasu dwunastoletnie podlotki!

Istvan Grabowski

Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (8)

OD KILKU miesięcy dochodziły nas wieści, że w sformowanej na terenie Związku Radzieckiego armii polskiej „coś się dzieje”. Sprawa ta żywo nas interesowała. Poza względami patriotycznymi — żołnierz polski miał się przecieć bić u boku żołnierza radzieckiego ze wspólnym wrogiem — w grę wchodziły momenty osobisto-emocjonalne. Do oddziałów naszego wojska, werbowanych m.in. za miedzą, w sąsiednim Uzbekistanie i Kirgizji, zgłosiło się kilku chłopców z Chanaka, rodziny polskie miały tam krewnych, przyjaciół, znajomych.

A głównodowodzący, generał Władysław Anders w dwóch etapach ewakuował kilkadziesiąt tysięcy naszych żołnierzy do Iranu i Iraku, co było na ręce rządowi brytyjskiemu, który zabiegał o wzmożenie obrony terenów naftowych na Bliskim Wschodzie.

Mógłbym pod adresem generała zgłosić i prywatne pretensje. Uprawdzał bowiem również mego kuzyna Stefana, z którym dopiero po szesnastu latach spotkałem się w Australii i to dzięki temu, że tam pojechałem. Mało tego: jeden z oficerów generała poderwał świeżo poślubioną żonę kuzyna i uciekł z nią w siną dal, nie bacząc na to, iż Stefan na początku wojny dużym nakładem kosztów sprowadził piękną Reginę do Lwowa.

Rejterada Andersa spowodowała reperkusje. W Stalinabadzie, jak i w innych miastach ZSRR, zamknięto naszą placówkę, opiekującą się polskimi obywatelami, a dokładniej: rozdzielającą sporadycznie dary z zagranicy. Julian Hochfeld otrzymał polecenie natychmiastowego opuszczenia, jako persona non grata, terytorium Związku Radzieckiego.

Stosunek miejscowej ludności do Polaków uległ nagle pogorszeniu. Zwłaszcza Rosjanie, przychylnie dotąd do nas nastawieni, poczuli nas unikając. Coraz częściej padał pod naszym adresem epitet: „prochodimcy”, co oznacza natrętów, niepożądanych przybyszów. A kiedy poprosiłem o jakąś informację oficera radzieckiego, zwracając się doń per „towarzysz”, ten odparł, nie ukrywając pogardy:

— Wam sieryj wołk towarzysz!

Potem zaproponowano nam przyjęcie obywatelstwa radzieckiego. Oczywiście można było odmówić, ale świeżo mieliśmy w pamięci niedawne dzieje i o ile wiem, nikt się nie wychylił — otrzymaliśmy radzieckie paszporty.

Z kolei mężczyźni w wieku poborowym wezwano do Wojenkomatu na komisję lekarską. Gdy przyszła moja kolej, felczerka (zwaliliśmy ją karlicą z powodu jej wzrostu i przykrego charakteru) zadała stereotypowe pytanie:

— Zdorow?

— Niet...

— Czom stradajecie? — podniosła głowę.

Przypomniałem sobie Katię Iwanownę ze szpitalika w Rybińsku.

— Epitimonit, labirintit... Mam zawroty głowy, po trepanacji czaszki nie słyszę na prawe ucho... Nachyliła się z lewej strony mej głowy.

— Chorosz, możecie idti domoj.

„Chce mnie wziąć na stary kawał” — domyśliłem się i energicznie zaoponowałem:

— Przecież to lewe ucho, a ja nie słyszę na prawe!

Skierowano mnie na ponowne badanie do Stalinabadu. Lekarze specjaliści zgodnie potwierdzili moje częściowe kalectwo. Dostałem kategorię „E”, stopień niżej niż w Polsce: sniał s wojskowo u czota, czyli żadna branka mnie nie dotyczy.

Szczerze mówiąc, nie tęskniłem do wojaczki. Rodzina miała mi się powiększyć, jak Ludmiła sama da sobie radę z dzieckiem?

Począłem się rozglądać za jakąś nową pracą. Nadal udzielałem korepetycji, ale nie opędzało to kosztów utrzymania. Kursowałem na trasie Chanaka — Stalinabad jako agent od specjalnych poruczeń. Temu potrzebny był materiał na ubranie, ktoś inny poszukiwał pilnie narzędzi stolarskich, żonie któregoś z naszych zachciało się reform. Miałem współnika do tych wypraw i zawsze kilka rubli wpadało nam do kieszeni za pośrednictwo.

Wieści z frontów były coraz pomyślniejsze. Na początku lutego 1943 wojska radzieckie okrążyły i zniszczyły armię niemiecką pod Stalingradem i przerwały blokadę Leningradu, a w marcu zachrypnęła radiotelegraficzna linia nie mniej pokrzepiająca na duchu wiadomość: dzięki poparciu władz radzieckich w Moskwie został utworzony Związek Patriotów Polskich, który jako naczelné hasło wypisał na swym sztandarze walkę do upadłego o wyzwolenie Polski.

Wrócili dawne, przyjazne stosunki z ludnością. Chodziliśmy dumni, z podniesioną głową, jakby to każdy z nas był twórcą tej polskiej masowej organizacji patriotycznej.

Przyszły pierwsze numery „Wolnej Polski”, organu ZPP. Na pierwszej stronie ze wzruszeniem ujrzałem fragment poematu Juliana Tuwima „Kwiaty polskie”, zaczynający się: „Chmury nad nami rozpał w lunę, uderz nam w serca złotym dzwonem, otwórz nam Polskę jak piorunem otwierasz niebo zachmurzone...”

Dowiedziałem się, że w szeregach organizatorów Związku Patriotów Polskich działa Kazimierz Witaszewski, przedwojenny związkowiec. Byłem z nim w ścisłym kontakcie w latach mej pracy w „Ex-

pressie”. Informował mnie o strajkach i innych akcjach robotniczych. Napisałem do niego obszerny list.

Jedna dobra wiadomość gonila drugą. Niemcy dostawali w skórę, aż się kurzyło. Ponieśli sromotną porażkę wiosną 1943 po natarciu wojsk radzieckich w rejonie Kurska. Armia Czerwona przeszła do kontrataku, opanowała Orzeł, Bielgorod, Charków. Sukcesy odnosiły też wojska alianckie: w Afryce skapitulowały ostatnie oddziały wojsk niemiecko-włoskich.

I nadszedł najradośniejszy, najpiękniejszy dzień w życiu moim i Ludmiły. Pierwszego września tego 1943 roku przyszła na świat nasza córka! Postanowiliśmy nadać jej imię Helena dla uczczenia pamięci mojej zmarłej matki. Pracownik ZAGS (odział Zapisu Aktów Graźdanskowo-Sostojanija), poczciwy Tadzük, nie mógł ani wymówić, ani napisać poprawnie obco brzmiącego słowa. I zarejestrował naszą córkę w księdze metrykalnej jako „Chlina”, co bardziej przypominało nadawane tam imiona dziewczynkom.

Zostałem ojcem...

— To dobry znak! — orzekli Polacy, gratulując nam potomka. — Jak w rocznicę wybuchu wojny urodziła się dziewczynka, to znaczy, że wojna niedługo się skończy!

Zapadłem na malarię. Była to tak zwana trychodniówka, tylko zapomniałem zapytać w szpitalu, czy ta nazwa pochodzi stąd, że malaria trwa trzy dni, czy też trzy dni przebiega okres inkubacji zarazków. Mimo czterdziestostopniowego upалу trząśłem się pod trzema kocami jak galareta.

Kiedy mnie wypisano, do izby przyjęć wszedł zastrachany Tadzük. Zafundował sobie tryperka i składając błagalnie dłonie, jęczał przed felczerką: — Towarzysz wracz, pomogicie... Moj wodoprowód płacze, płacze...

Skończyły się żarty, zaczęły się schody. To już nie przelewki: mam córkę, trzeba się o nią zatroszczyć, jak na kochającego tatę przystało. Muszę znaleźć jakąś solidną pracę i zabezpieczyć dziecko i żonę przed chłodem, bo szło ku zimie.

Udało mi się polaczyć jedno z drugim. Finotdiel szukał kogoś, kto podjąłby się transportu toru z pobliskiej ITK — Isprawitielno Trudowej Kolony, czyli, mówiąc krótko z obozu pracy przymusowej. Torf do wolnej sprzedaży nie trafiał, przydziały otrzymywały tylko instytucje dla własnych potrzeb.

— Co piąty wóz będzie wasz — powiedział dyrektor tej szacownej instytucji.

— A kto mi pomoże w ładowaniu? Sam nie dam rady.

— Nie martwicie się o to. Tam jest dosyć rąk do pracy.

Pobiegłem do domu z radosną nowiną. Raz, dwa, wzięli... Raz, dwa drużno, jeszcze nužno...

Wyruszyłem o świcie wozem drabiniastym, zaprzężonym w parę wołów. Jak to było? Pognęła wołki na Bukowinę, wzięła skrzypeczki swoje jedyne, i chodzi, i płacze, czy ja swoje siwe wołki zobaczę?... Moje wprawdzie też były siwe, ale pognęłem je do ITK.

Poszło o wiele łatwiej niż przypuszczałem. Pensjonariusze poczuli swego i uwijali się jak w ukropie, a poczciwe wołki nawet dość szybko odbyły powrotną drogę.

Ludmiła miała dla mnie dobrą wiadomość. Była u niej kierowniczka znajdującego się naprzeciw naszego domku przedszkola i pytała, czy nie podtrudna, ot pozamiatać, posprzątać, a najważniejszą, płatne wyżywienie dwa razy dziennie, praca nie-trudna, ot pozamiatać, posprzątać, a najważniejsza w nocy dawać baczenie, by nie rozkradziono dobytku.

Bomba! O takiej pracy marzyłem. Tuż przy domu, z dala od wszelkiej zwierzyny, bo w przed-

szkolu nawet psa nie było. Stary Chakim, zawchoz, czyli zarządzający gospodarstwem, udzielił mi odpowiednich instrukcji:

— Zie ci tu nie będzie. Tylko pamiętaj — deszcz w Tadżykistanie padają rzadko. Sam będziesz musiał polewać, niebo cię nie wyręczy.

Chakim był wymagający, żądał porządku i jako insygnia władzy wręczył mi splecioną przez siebie miotłę z lodyg ryżu. Nie przemęczałem się. Do pracy przychodziłem po południu, kiedy rodzice odbierali dzieci, a w nocy wyносиłem do ogródka stół, kładłem na nim siennik i spałem błogo do świtu.

Którego dnia do Chanaka zawitała na inspekcję komisja ze stalinabadzkiego Oblonok. Przewodniczącą, Tadzük w bajechnie kolorowej tiubiatieje i takimż jedwabnym chałacie, zajrzał do każdego kąta, miejscowym zwyczajem cmoknął kilka razy z zadowolenia i wdał się w pogawędkę z kierowniczką.

Stałem obok, mocowałem się z niesforną deską w płocie. Dobiegały mnie słowa dyskusji o Majakowskim. Już nie pamiętam przedmiotu ich rozmowy, ale w pewnym momencie wtrąciłem jakąś uwagę o ulubionym poecie. Tadzük szeroko otworzył usta.

— Kim jest ten wasz dozorea? — zapytał kierowniczkę, odciągając ją na stronę.

Potem porozmawiał ze mną i udał się w dalszy obchód, oglądając się co chwila w moją stronę.

Po dwóch tygodniach Chakim wezwał mnie do swego kantorku.

— Przyszło pismo z Oblono w Stalinabadzie. Chęć, żebyś przyjechał. Na pewno dostaniesz premię za dobre sprzątanie...

Z polecenia kierowniczkę wystawił mi komandirówkę do stolicy. O, gdyby ten dokument zachował się do dziś! Byłaby to chyba jedyną w swoim rodzaju delegacją służbową: przy wyjeździe podpisałem ją jako dozorca, a nazajutrz, po powrocie, skasowałem jako... nauczyciel!

Rozmowa w Oblono była krótka.

— W Chanaka mieszka dwadzieścia waszych rodzin. Dzieci są w wieku szkolnym. Muszą się uczyć. Będziesz nauczycielem w polskiej szkole. Damy ci do dyspozycji jedną klasę w naszym budynku.

Radość w kolonii była przeogromna. Natomiast ja chodziłem zafrasowany. Szkoła to nie prywatne korepetycje. Dzieci należy uczyć systematycznie, a skąd wziąć podręczniki? Poza egzemplarzami „Wolnej Polski” nie dysponowałem żadnym drukiem w polskim języku. Zresztą nie można czytać maluchom artykułów ani nawet wiersza Tuwima, to za trudne dla ich percepcji. Przypomniałem sobie fragmenty kilku wierszy ze szkolnych lat, w tym całego „Dziada i babę” Kraszewskiego. Tabliczka mnożenia nie wywietrzała mi z głowy, tak samo zasady pisowni. Na początek dobre i to, a co dalej — zobaczymy.

Nasza klasa znajdowała się na parterze. W czasie zajęć lekcyjnych rodzice dzieci przystawali w otwartych oknach. Siedziałem przy katedrze i deklamowałem, wybijając ręką rytm na pulpicie:

Był so-bie dziad i ba-ba
bar-dzo sta-rzy o-boje,
ona kasz-lą-ca, śla-ba,
on skur-czo-ny we dwoje...

Klasa chórem powtarzała za mną wiersz, stanowiący żelazny repertuar programu nauczania. A na przerwie podeszła do mnie zacna pani Jablonka, której dwie córki były moimi uczennicami.

— Panie nauczycielu, ja rozumiem: był sobie dziad i baba. Był sobie raz, był sobie dwa razy, niechby trzy, ale na miłość boską nie codziennie.

Nadeszły z Moskwy upragnione podręczniki szkolne w polskim języku, wydrukowane dzięki staraniom Związku Patriotów Polskich i pomocy władz radzieckich. Z najnowszego numeru „Wolnej Polski” wyciąłem portret Kościuszki i na dużej przerwie przybiłem go do ściany w naszej klasie, odwołując kawał tynku.

— Czemu niszczysz ścianę? — zgromił mnie Jusuf, woźny. — To tak postępuje były dozorca? A w ogóle to kim jest ten kurnosy obywatel? — wskazał na portret.

Gdy wyjaśniłem, że to nasz bohater narodowy, że jego imieniem nazwano polską Dywizję Piechoty, która już przeszła chrzest bojowy u boku radzieckich towarzyszy w walkach na Białorusi i pod Lenino, udobruchał się. I odtąd — jak długo istniała polska szkoła w Chanaka — Naczelnik patrzył na nas z wysokości.

Mimo uciążliwych warunków, w jakich żyliśmy, Helenka rozwijała się prawidłowo, nie chorowała, co było niewątpliwą zasługą jej matki, czuwającej nad dzieckiem w dzień i w nocy. Nasza córka stała się pupilką polskiej kolonii. Pierwsze dziecko wśród uchodźców urodzone w zapadłej osadzie egzotycznego Tadżykistanu!

Jako pracujący nauczyciel dostawałem więcej chleba na kartki. I chociaż mógłbym zjeść nawet podwójne porcje, część przydziałowego pieczywa wymieniałem na winogrona. Dziecko chętnie pilo soczek, a Tadzük, z którymi dokonywałem tych transakcji, pukali się w czoło:

— Krugom durak, kto słyszał, żeby chleb oddawać za winogrona, które same rosną?

Ludmiła napisała do znajomych w oswoobodzonej Odessie, pytając o swego brata. Straciła z nim kontakt w wojennej zawierusze. Radosna nowina nadeszła szybko: Janek zdrow i cały, mieszka w

Krzyżówka nr 21

szyfrogram literacki

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29
30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	
44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56		
57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	
71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	
85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96			
97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107	108	109	110	
111	112	113	114	115	116	117	118	119	120	121	122	123	124	
125	126	127	128	129	130	131	132	133	134	135	136	137		
138	139	140	141	142	143	144	145	146	147	148	149	150	151	
152	153	154	155	156	157	158	159	160	161	162	163	164	165	
166	167	168	169	170	171	172	173	174	175	176	177	178		
179	180	181	182	183	184	185	186	187	188	189	190	191	192	

Ułjanowsku na takiej, a takiej ulicy. Korespondencja nabrała rozmachu. Któregoś dnia listonosz przyniósł oczekiwaną przesyłkę. Szwagier serdecznie zapraszał naszą trójkę do siebie. „Będzie wam tu bardzo dobrze, na razie zamieszkamy razem w pokoju sublokatorskim, a potem wyszukamy coś odpowiedniejszego”.

Nie chciałem nawet słyszeć o przenosinach. Albo mi tu źle? Wyjechać, gdy wreszcie znalazłem spokojną, satysfakcjonującą pracę? Ze słonecznego kraju nad Wolgę, gdzie szalejące wiatry urywają głowę, a mrozy zimą paraliżują życie? W tak daleką drogę z rocznym dzieckiem? I to w wojennych warunkach, bez prymitywnych wygod? To przecież tak, jak położyć się ze zdrową głową do chorego łóżka!

Ale w miarę upływu czasu mój upór malał. Wpływały na to wieści z frontów walk. Już całe terytorium Związku Radzieckiego zostało wyzwolone spod okupacji niemieckiej, a w czerwcu 1944 oswobodzony został pierwszy skrawek Polski na jej wschodnich rubieżach.

I gdy nadszedł list od Kazimierza Witaszewskiego, który, wyrażając radość z mego ocalenia, napisał: „Niech pan się postara jak najszybciej dotrzeć do nas, potrzebujemy takich ludzi jak pan” — podjąłem decyzję:

— Napisz do Janka, niech przysyła papiery. Jedziemy!

Gdybym przewidział, co mnie spotka w Ułjanowsku, w tej ziemi obiecanej, za skarby świata nie ruszyłbym się z miejsca...

Są wydarzenia w mym życiu, nawet z najodleglejszej przeszłości, które mogę opisać z wszelkimi szczegółami. Inne, nie mniej ważne, rozplynęły się w pamięci. Jak na przykład nasza wyprawa do Ułjanowska. Zabijcie mnie, ale w żaden sposób nie potrafię uprzytomnić sobie tej długiej podróży z maleńkim dzieckiem na rękę. Nawet trasę musiałem zrekonstruować przy pomocy mapy.

Gospodyni szwagra była sympatyczna, wzięła Helenkę na kolana, bawiła się z nią, ale po tygodniu poprosiła Janka do siebie i oświadczyła:

— Nie mogę spać po nocach, dziecko płacze, nie wytrzymuję nerwowo. Bardzo mi przykro, ale niech pan wyszuka dla swojej rodziny inne mieszkanie. Na dniach przyjeżdża do mnie starszy krewny, dalszy pobyt z dzieckiem jest niemożliwy...

Wyprowadzić się? Dokąd? Wynajęcie jakiegoś pokoju, nawet mieszkania u kogoś kątem, mimo przysłowiowej gościnności Rosjan, było marzeniem ścietej głowy. Do Ułjanowska, jak i do innych miast leżących z dala od działań wojennych, napłynęła fala uchodźców z terenów, które pierwsze padły ofiarą inwazji hitlerowskiej.

I po to opuściliśmy Chanaka, gościnny dom w pełnym tego słowa znaczeniu, bo „chanaka” to po tadżycku dom noclegowy dla pielgrzymów, by teraz nie mieć gdzie ułożyć skołatanych głów?

Brat żony pracował w wojskowej instytucji na nowostrojce w Zawożu, przedmieściu Ułjanowska. Stał tam domek zajęty na magazyn toporów, pił, hebli. Szef Janka przejął się naszym losem i wyraził zgodę na przeniesienie magazynu do innego pomieszczenia, a my za jego przyzwoleniem wprowadziliśmy się do opróżnionego budynek.

Była to jakby z upiorną bajki braci Grimm chatka na kurzych nóżkach. Podłogę zastępowało klepisko z ubitej gliny. Ściany z dykty, podwójne, między nimi trociny, mające zabezpieczyć przed chłodem. Izdebka nie miała nawet dwóch metrów wysokości. Na świat wyglądały dwa maclupkie okienka, służące przedtem do wydawania robotnikom narzędzi pracy. Do izby przylegał przedsionek z wielgachnym sundukiem, skrzynią. Wyposażenie klitki stanowiły: zbite deski ułożone na kozłach, zastępowały nam łóżko, kilka półek, dwa taborety, radioteczka na ścianie i jakieś skrzynki. Z jednej zamajstrowałem posłanie dla dziecka.

Prawdziwym dobrodziejstwem naszego „mieszkania” była kuchenka z szamotowych cegieł, z przewodem kominowym. Żeby nie zamarznąć na kość, a mróz już chwiał po nocach, musieliśmy palić pod kuchnią okrągłą dobę. Tylko czym? Nawet nie wiem, czy na Zawożu był jakiś skład opalu.

Poradziłem sobie z tym problemem. Przed domkiem ciągnął się rząd drewnianych szaletów. Deska po desce ogalałem nocą tylną ścianę tych przybytków i na zmianę z żoną podrzymywałem ogień.

Wodę czerpaliliśmy z kołodca, studni. Wiadro stało w przedsionku. Nad ranem pokrywała je skorupa lodu. Przygotowane na zimę ziemniaki stwardniały na kamień w sunduku, gdy tylko uderzyły mrozy.

Lokatorzy nowostrojki sarkali na uprawianą przeze mnie dewastację ich świątyni dumania, jednakże zobaczywszy w jakich warunkach żyjemy z małym dzieckiem, machnęli ręką. Od czasu do czasu ten i ów jeszcze podrzucał trochę szczapek. Z upływem tygodni tylnie ściany szaletów przestały istnieć. Zachodzących tam użytkowników odróżniałem nie tyle z twarzy, ile z czegoś wręcz przeciwnego i niżej.

Jakimś luksusem w porównaniu z tym koszmarnym domkiem był barak w rybińskim obozie pracy! Niemal hotelem pod pięcioma gwiazdkami. Bo i coś z tego, że cieszyłem się teraz wolnością? Tam byłem sam, tylko o siebie musiałem się troszczyć, tutaj mała dziewczyna i żona w nie najlepszej kondycji fizycznej.

Co gorsza, głód zaglądał nam w oczy. Zdesperowany zakradłem się do sąsiedniej obory. W pojemnikach na karmę leżały makuchy, wytloki z ziaren słonecznika. Porwałem jeden i łapczywie pocałem gryź. Wszystkie krowy mają tęskne, marzące spojrzenie, ta co patrzyła na mnie, przysiągłbym, współczuła mej doli...

(edn.)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment utworu znanego pisarza. Pierwsze litery 26 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko pisarza oraz tytuł powieści, z której pochodzi cytowany tekst. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

1. supel — 128, 25, 55, 122, 15.
2. miasto w woj. radomskim związane z historią II wojny światowej — 19, 44, 35, 176.
3. miasto wojewódzkie — 7, 78, 132, 28, 45, 59.
4. wezwanie głowy państwa do narodu — 5, 54, 43, 74, 88, 69, 137.
5. ziemia widziana z morza — 136, 56, 86.
6. innowierca — 2, 12, 41, 53, 143, 159, 129, 109, 114, 20.
7. kurzy drążek do siedzenia — 1, 51, 174, 130, 114, 20.
8. płaszcz z kapturem bez rękawów — 16, 32, 115, 182, 120, 133, 92.
9. należy do koła łowieckiego — 14, 58, 101, 145, 107, 118, 185.
10. miasto w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym — 6, 70, 138, 184, 103, 160.
11. zboże Azji — 24, 80, 46.
12. stół ofiarny w różnych kultach — 22, 65, 131, 113, 172, 18.
13. model do powtarzania — 89, 152, 156, 87.
14. powoduje reakcję — 29, 79, 158, 100, 140, 150.
15. ptaki lub dnięprańskie łodzie — 10, 27, 135, 83, 155, 33.
16. płochliwe zwierzę — 11, 40, 162, 84, 102.
17. wiosenny kwiatek — 63, 90, 94, 104, 141, 81.
18. silne przeżycie uczuciowe — 66, 37, 62, 183, 157, 98.
19. podwyższenie do załadunku towarów — 150, 179, 4, 71, 48.
20. płać trawy z ziemią — 17, 181, 166, 9.

21. tam prom ze Swinoujścia — 38, 167, 43, 2, 57.
 22. rzymski X — 34, 178, 31, 125, 161, 49, 73, 186.
 23. ma licznik i mianownik — 191, 13, 64, 22, 146, 168.
 24. uchwyty, oprawka — 72, 96, 61, 121, 75, 82.
 25. druga rzeka Afryki — 21, 76, 97, 126, 163.
 26. szacunek, uszanowanie — 105, 68, 170, 60, 174, 110.
 27. podstawowa forma wyzysku chłopów w feudalizmie — 39, 151, 111, 93, 91, 112, 52, 3, 77, 116, 144.
 28. nocny motyl — 192, 67, 139.
 29. nawóz z odpadów przegnilych — 47, 117, 108, 56, 127, 123, 175.
 30. skazanie na wygnanie — 95, 134, 124, 168, 26, 147, 165.
 31. kulka wystrzyżona z włóczki — 99, 154, 106, 189, 119, 164.
 32. klient w urzędzie — 153, 149, 180, 171, 187, 148.
 33. naprawę nazywa się robinią — 173, 30, 34, 85, 142, 188.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań, rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19

SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Wybudować grób. To się tylko tak mówi. A kto nie budował, ten nie wie, co taki grób kosztuje. Prawie tyle, co dom. Choć grób, mówią, też dom, tylko że na tamto życie. Bo wieczność nie wieczność, a swój kąt powinien człowiek mieć.

Wiesław Myśliwski
KAMIEN NA KAMIENIU

Nagrode wylosował Romuald Radziejewski, ul. Paganiniego 12 m. 128, 20-854 Lublin.

Zderzenia

Kolejkowy nawyk

GDY ODWIEDZIŁEM niedawno zakład fryzjerski przy ulicy Jedności Robotniczej, zdumiał mnie i uradował fakt, iż okazałem się akurat jedynym klientem. „Przynajmniej tutaj o mnie mnie czekanie” — myślałem z satysfakcją. Dobrego samopoczucia nie popsuła mi nawet świadomość, że w lokalu nie dostrzegłem fryzjera. Smętna pani w kasie pospieszyła zresztą z zapewnieniem, że mistrz zaraz się zjawi. Usiadłem więc cichutko, bo każdy znajduje w ciągu dnia małą chwilkę na zbyciu. Tymczasem owa chwilka zaczęła się wkrótce rozciągać w nieskończoność. Za przepierzeniem z dykty, dzielącym dwa działy, krzyżowały się szeptki, brzęczały telefony i postukiwały sztucce. Próby nacisku na kasierkę odrzucało z oburzeniem. W końcu odczekawszy „przeplisową”

godzinę mogłem się wreszcie poddać zabiegowi strzyżenia. Gdyby już funkcjonował drugi etap reformy, zapewne opuściłbym wcześniej niegościnny lokal. Kilka konkurencyjnych zakładów istniałoby przecież w najbliższej okolicy. Póki co, nie cieszymy się na zapas, gdy w jakimś miejscu zabraknie kolejek. Kolejki przecież były i chyba być muszą. Nawet jeśli tworzyć je trzeba dla jednego klienta. Przyzwyczajenie wszak, jak powiadają, to altera natura.

Taksówkowe gbury

ZAWSZE MNIE UCZONO w domu, że grzeczność to zaleta. I nawet jakoś brutalność życia nie zdolała mnie wyleczyć z takiego myślenia. Podpierali mnie w tym względzie i apele współziomków, żeby świadczyć życzliwość i wizyty w krajach, gdzie uprzejmość jest twym towarem. Wsiadając więc, na przykład do taksówki, zawsze wypowiadam sakramentalne „Dzień dobry” i

najczęściej spotykam się z podobną reakcją. Ostatnio wszakże spotkało mnie znowu kilka rozczarowań. Odpowiedzią na powitanie stała się obserwacja spodoba, jak moja torba ląduje na siedzeniu. (Ani przez moment na postoju nie dotknęła ziemi). Podaniu żadanego miejsca przeznaczenia — gniewny pomruk niechęci i fantazyjne szarpnięcie przy starcie. Po drodze spłoszył jeszcze kierowca kilka starsuszek na przejściach i obrzucił przekleństwami inne korzystające z drogi ruchome pojazdy. W takiej atmosferze przybyliśmy na miejsce. Podany banknot ze złością wepchnięto do blaszanego pudła, a drzewiczki po moim wyjściu zatrzasnęły się z hukiem. Takieś przejażdżek odbyłem ostatnio kilka. Można by więc powiedzieć: podaj mi numer taksówki, a będę wiedział, kim jesteś. Numerów wszakże ujawniać nie bardzo wypada. Niechęć do ludzi i grubiaństwo nie są jeszcze następstwem. Po co tylko robić za grube pieniądze coś, czego się tak bardzo nie lubi?

(b)

kamena 11

Tombakowe siostry

STARA to prawda, że wrodzone wdzięki można wykorzystywać różnie. Siostry Mariola i Beata W. postanowiły spożytkować je dla pokarania ludzkiej naiwności. Szykownie ubrane i zawsze pełne uroku, wojażowały po kraju, udając zagubione cudzoziemki. Przy okazji powiększały grono aktywistów tombakowego eldorado. Grono, które na mapie przestępczości narodziło wciół nowe punkciki, mając mocną podstawę w zachłannym pragnieniu wspierania cynowej złotówki na domowym parytecie złota. Niedawno telewizja zaprezentowała karierę wiekowego mężczyzny, który uprawiając podobny proceder, przeżył pięć kolorowych lat. Złota życie dziewczyna okazało się o dwa lata krótsze.

Rytuał zdobywania klientów przebiegał niemal zawsze według prostego scenariusza. Rozpocznano się od rozpoznawczej przejażdżki autostopem, najchętniej polyskliwym wozem luksusowej marki. Przy aparycji sióstr nie było to sprawą szczególnie kłopotliwą, a często wiązało się nawet z niechęcią kierowcy do raptownego przerywania tak mile zawiązanej znajomości. Mariolę i Beatę szczególnie interesowały ceglaste i tynkowane domki, już z zewnątrz świadczące o guście i zasobności właścicieli. Po spenetrowaniu terenu tam właśnie powracały „cudzoziemki”, skarżąc się na niebezpieczeństwo, które je dotknęło w trakcie poznawania uroków naszego pięknego kraju. Skradziono im pieniądze i dokumenty i porzucono przy drodze. Najczęściej reprezentowały w takich przypadkach wielonarodowościowe państwo Jugosławii (ciemna karnacja), i niezła, poprzez rozliczne kontakty, znajomość polskiego.

Gdy strapieni wyznawcy staropolskiej gościnności ofiarowali szybki kontakt z najbliższym posterunkiem, dziewczyny zapewniały, że mają to już za sobą, że obiecano im sprawiedliwość, a teraz pozostała jedynie wizyta w rodzinnej ambasadzie. By

wszakże dotrzeć do stolicy, muszą prędko pieniędzy kilka osobistych drobniaków. Propozycje pożyczki odrzucały energicznie. Wszak rzecz zahaczała o honor narodowy. Pragnienie podretuszowania wizerunku Polaka rosło u gospodarzy proporcjonalnie do współczucia. Nie bez rzecz jasna, ochoty, by pochwylić okazję. Szybkiej transakcji towarzyszyły przy tym obietnice przyszłych wakacji nad Adriatykiem. Zdarzyło się, że kilku sąsiadów wpadało na pogawędkę i tak Mariola i Beata, acz z wyraźnym wahaniem, pozbywały się drobnych osobistych cacuszek. Bywała i kawka, i ochy i achy, a na koniec wycelowane dzlewczyny z wypchanym portfelem odwoził fiałem Marian „na pociąg”, do najbliższej stacji.

O wizycie uroczych cudzoziemek długo rozprawiano w okolicy. Był to jakby dyskretny dźwięk kontaktu z wielkim światem. Na takich właśnie ciągłach budowały siostry plan swojego działania. Dobrze samopoczucie z fortunnej okazji nie opuszczało właścicieli tombakowych pierścionków dostatecznie długo, by po miłych paniach zatarł się wszelki ślad. Zapewne niejedno jeszcze stadło do dziś błyska obrączkami z fałszywego kruszcu.

Nie wysilając fantazji na korekty przyjętego schematu, przemierzały siostry Polskę od Tatr aż po Bałtyk. Widywano je w Walbrzyskiem i na Lubelszczyźnie. Ich prywatne fortunki rosły jak na drożdżach, zabawa była przednia, a naiwności ludzka przysłowiowo święta. Na polskiej megalomanii można zyskać dużo. Owe wciąż sprzyjające okoliczności sprawy wszakże, zgodnie z odwiecznymi prawami przyrody, skurczenie się tak ważnego instynktu ostrożności. Zachłanność i rosnąca nonszalancja przerwały po prostu słodki żywot tombakowej spółki.

Mariola i Beata, jak rasowi przestępcy, zaczęły nieopatrznie powracać w rejony już spenetrowane. Dwa czy trzy razy jeszcze im pomogło szczę-



Rys. E. Bogdański

ście, ale gdy podjęły transakcję z pewnym wiejskim proboszczem, napotkały na plebanii swoich dobrych znajomych z pobliskiej osady. Uroczym „Jugosłowiankom” zablokowano ucieczkę. Teraz dopiero, po opublikowaniu w prasie wizerunku oszustek, zaczęły się pielgrzymki do okolicznych jubilerów i coraz to nowe skargi wypychały i tak niechude akta przygotowywanej sprawy. Na dłuższy czas przyjdzie teraz dziewczętom zrezygnować z uroków szerokiego świata. Ludzka łatwowierność i spontaniczny pociąg do błyskotliwego biznesu nie zostaną wszakże na pewno do końca zrekompensovane. Tak to już bowiem bywa w tym okrutnym życiu.

A przewrotny morał do całej tej sprawy może być i taki: najłatwiej okradać innych, podając się za ofiarę cudzego złodziejstwa. I to już jest kawałek prawdy o naszej psychice.

Jak dotąd, Beacie i Marioli udowodniono oszustwa na łączną sumę ośmiu milionów złotych.

Piotr Beck

Kajet literacki

Ballada o maszynie do pisania

KIEDYS Wańkowicz w specjalnej ankiecie wypytywał piszących, jakiej maszyny używają, jakiej taśmy, kalki i tak dalej. Oczywiście zbadać i przeanalizować można wszystko. Stare przysłowie mówi, że książki posiadają swoją historię. Historia maszyn do pisania bywa jednak często ciekawsza od książek, które na nich wystukano.

Gdy skończyłem swoje pierwsze dzieło, zużywając na to kilka długopisów, dano mi do zrozumienia, że jest szansa opublikowania fragmentu, kiedy będę miał maszynopis. Długo się nie zastanawiając postanowiłem kupić cunosłowną maszynę i to najchętniej okazyja. Z tym problemem zwróciłem się do dawnego kolegi z lat chłopców, który uchodził za jednego z dyrekto-

rów świeżego powietrza i zajmował się chętnie wszystkim, jakby zastępując nieobecnych faktorów. Wychowywały go ofiarnie dwie ciotki i jedna babcia. W połowie lat sześćdziesiątych wszystkie trzy panie wyjechały do Stanów Zjednoczonych i utrzymywały swego pupilka drogą — że tak powiem — korespondencyjną. On nigdzie emigrować nie zamierzał, bo tu mu się dobrze wiodło, tu mógł się zajmować wszystkim — jakby wszystkiego będąc dyrektorem.

— Maszyna do pisania? — spytał z miną prawdziwego biznesmena. — Wszystko jest do kupienia, nawet tu, w tym parku. Nie wierzysz? Czekaj, rozejrzyj się tylko, kto tu siedzi w pobliżu. Jest Broniek, szafa gra, komoda tańczy. Broniek związa swoją firmę budowlaną. On może mieć.

Siedziałem na ławce i cierpliwie czekałem. Mój peñnomocnik wrócił, oświadczając, że jest do sprzedania „Erika” z niemiecką czcionką za tysiąc plus litr do wspólnego wypicia w trzech. Tysiąc miałem, ale nie poza tym. Ostatecznie stanęło na tym, że placę osiem stów, a litra stawia eks-przedsiębiorca budowlany. Po spełnieniu toastów przestraszyłem się, że ku-

płem kota w worku, ale pocieszył mnie specjalista wezwany na ławkę jako konsultant.

— Panie, przecież to „Erika” — powiedział. — Wie pan, co to za maszyna? Zrzuca się ją z trzeciego piętra, schodzi na dół i plisze dalej.

A więc nie był to zły interes. W każdym razie jednak musiałem pieniądze wyłożyć z własnej kieszeni. Dziesięć lat potem było inaczej. Już jako literat opiekowałem się pewnym klubem literackim. Młodzi amatorzy, często jeszcze przed debiutem prasowym, szybko znaleźli mecenasa, który nie żałował pieniędzy, żeby było co zaksięgować w rubryce wydatków na kulturę. Po prostu zakupiono kilka nowiuteńkich maszyn do pisania i rozdano je byle komu. W ten sposób mój amatorzy mieli nowe, błyszczące cacka, a ja, ich urzędowy protektor dalej waliłem w swoją „Erika”. Różnymi dziwnymi drogami chodził mecenat w szalonych latach siedemdziesiątych. Pamiętam, jak wprost weiskano mi ćwierć miliona z puli zakładowej na wydanie jednodniówki czy czegośkolwiek, aby tylko pozbyć się tych pieniędzy na kulturę.

Jednak w tychże latach siedemdziesiątych biednemu eks-przedsiębiorcy

budowlanemu wiodło się jeszcze gorzej niż poprzednio. Sam sobie zresztą był winny, rzucił rodzinę, bimbał. Kiedy zaproponował mi kolejny interes i pokazał wielki kawałek boczek, Kupilem, żeby już się nie męczył i nie szukał innych klientów. Zresztą boczek wyglądał ładnie. W smaku też nie najgorszy. Przyszła żona, zrobiła sobie parę kanapek, zdziwiona, że nagle mi z tego ni z owego kupilem boczek, a przecież nigdy nie pchałem się do sklepu mięsnego na ochotnika. No więc zjedliśmy trochę i resztę schowaliśmy do lodówki. Na drugi dzień zjrzalem tam i zdębiałem. Mój boczek przez noc posiwił jak ciężko doświadczony starsuszek. Cały pokrył się nagle srebrzystą pleśnią. Cholerny przedsiębiorca budowlany! Skąd on ten boczek wytrzasnął. Czyżby znalazł go na śmietniku? Dlaczego w takim razie nie śmierdział?

No cóż, naciąłem się na tym boczeku. Ale „Erika” okazała się grzeczną dziewczynką i raczej mnie nie zawiodła, choć czasami miewała swoje kaprysy. Przede wszystkim znosiła swój futerał i jak każda elegancka domagała się nowego okrycia.

Janusz Olczak

Archiwum mistrzów anegdoty

Leu Tolstoj uczestniczył swego czasu w obiedzie z udziałem Iwana Turgeniewa. W pewnej chwili wybuchła między pisarzami

spierka, w czasie której Turgeniew rzucił wyświecającym się głosem: „Tolstoj!”

— Ależ, Kochany panie — zawołał Tolstoj — sądzi, że podany kotlet jest smacniejszy od mojej głowy!

Louis Narbonne był francuskim niegłowi stanem, Charlesowi Talleyrandowi, swoje nowe wiersze. W znacznej odległości od nich stał jakiś człowiek i szeroko złował:

— Narbonne — zwrócił się do poety Talleyrand — spójrz tam, recytujesz swoje wiersze zbyt głośno!

W mieszkaniu Stanisława Smółskiego, wybitnego historyka krakowskiego, toczyła się rozmowa na temat lingwistyczne. Włączając się do rozmowy, gospodarz zauważył:

— We Francji niektórzy znawcy języków powtarzają za Karolem IV, że język ar-

gielski jest stworzony, aby mówić nim do ptaków, włoski — do kobiet, hiszpański — do Boga, francuski — do przyjaciół, a niemiecki do koni. Do czego zaś stworzony został język polski?

Zapanowało dłuższe milczenie, które przerwał w pewnej chwili syn znakomitego historyka, przysłuchujący się rozmowie starszych:

— Z całą pewnością do tego, żeby nauczyć ciębie, co to znaczy obrać niewłaściwą zawód. W końcu odezwał się dotąd milczący Boy:

— Ja panom powiem. Kiedy kieszonkowy złoźciej krańcie konia...

George Bernard Shaw był swego czasu na przyjęciu w domu londyńskiego bankiera. Gospodarze, delikatnie mówiąc, nie odznaczyli się urodą. Kiedy gościom przedstawiano syna, chłopca uderzającej urody, Shaw, spojrzawszy na matkę i ojca, rzekł:

— Sądzę, proszę państwa, że dziecko przyniósł dołan.

Po premierze jednego z filmów Chaplina krytycy zarzucali znakomitemu artyście nie, która błąd obojżanego dzieła, na co Chaplin odrzekł:

— Na cudze błędy patrzymy jak na cudze żony. Mamy z nich dużo więcej radości niż ze swoich własnych.

Wysperzał: Ryszard Dunia

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Korabik, Tadeusz Jasinski (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 14-16), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie prawo skrótoów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Urleka 4.

Wydawca: Sobotnia Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 245-34.

Adres redakcji: 20-028 Lublin ul. Skłodowskiej 21

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 243-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem:

20-500 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.